

PATSY BROOKS

KARDAMON I CYNAMON

Przełożyła Marta Tyczyńska

Place Annie drżała z podniecenia, kiedy rozwiązywała łośosiovą wstążkę zdobiącą podarunek, podarunek którym krył się prezent od siostry. Wszystkie pozostały już rozpakowała. Ten od Laury, niczym deser, zostawiła na koniec, przeczuwając, że sprawi jej największa przyjemność. - Jaka piękna! - zawołała na widok jasnozielonej torebki, którą poznała na pierwszy rzut oka. Widziała ją przed dwoma tygodniami w jednym z butików przy Piątej Alei. Torebka tak jej się spodobała, że Anna na dłużej niż zwykle zatrzymała się przed wystawą. Laura, która z nią wtedy była, w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że domyśliła się, co tak zachwyciło jej siostrę.

- Skąd wiedziałas? - spytała Anna, unosząc torebkę.

Laura uśmiechnęła się tajemniczo i odparła:

- Należymy do tej samej rodziny, więc musimy mieć chociaż trochę podobne gusty.

- Jest prześliczna! - Anna przypomniała sobie, ile kosztowała torebka. Majątek! - Ale przecież... - Nie dokończyła, zdając sobie sprawę, że nie rozmawianie o cenie prezentów z darczyńcą nie jest eleganckie.

- Dobrze mieć siostrę, która została młodszym współnikiem w kancelarii Hayers & Cooper, prawda? - spytała Laura, domyślając się, co Annie chodzi po głowie.

Anna objęła ją i pocałowała.

- W ogóle dobrze mieć siostrę. - Rozejrzała się po salonie i dodała: - I dobrze mieć taką wspaniałą rodzinę.

Dziś skończyła siedemnaście lat i jak w każde jej urodziny, odkąd sięga pamięcią, byli przy niej wszyscy, których kochała: mama i tata, Laura, dwaj bracia - Steven i Gregore - ciocia Maggie, wujek Daniel, dziadkowie oraz kuzynowie, rówieśnik Amy, Joel, i starszy o dwa lata Nathan.

- Dziękuję - powiedziała wskazując na leżące na kanapie książki, kosmetyki, ubrania i inne drobiazgi, które dostała. Po chwili, w obawie, że kogoś uraziła, bo zbyt powściągliwie pochwaliła prezenty, dodała: - Wszystko jest piękne. Naprawdę dziękuję.

Mówiąc to, zatrzymała dużej wzrok na rodzicach. Właśnie im mogła sprawić przykrość.

Gdyby chciała być wobec siebie całkowicie szczerą, musiałaby przyznać, że tomik wierszy, który od nich dostała, nieco ją rozczarował. Sylwia Path była wprawdzie jej ulubioną poetką, rodzice przyzwyczaili ją jednak do bardziej okazałych prezentów.

Kilka minut temu, gdy wzięła tomik do ręki, nasunęło jej się pytanie, czy skromność tego prezentu nie wiąże się z pewnym konfliktem, który ostatnio ciążył na jej stosunkach z rodzicami. Natychmiast zganiła się w duchu, że takie coś w ogóle mogło jej przyjść do głowy.

Ani mama, ani tata nie należeli do ludzi małostkowych.

Teraz ze wstydem myślała, że to ona była małostkowa. Tomik poezji Sylwii Plato to przecież piękny prezent.

Podeszła do rodziców, objęła ich i pocałowała.

- Dziękuję - szepnęła.

Ojciec popatrzył pytająco na matkę, kiedy ta skinęła głową, wyciągnął z kieszeni jakiś papier.

- Anno, ja i mama mamy dla ciebie jeszcze jeden prezent - powiedział, wręczając jej złożoną kartkę.

W salonie zapadła cisza. Anna rozejrzała się i widząc tajemnicze uśmiechy na wszystkich twarzach, domyśliła się, że tylko ona nie wie, co jest na kartce.

Rozłożyła ją pośpiesznie i zaczęła czytać:

- *Mademoiselle* Watson, informuje Panią, że kwota - suma była starannie zamazana czarnym długopisem i Annie nie udało się jej odczytać - wpłynęła na nasze konto i została pani wpisana na listę uczestników kursu *haute cuisine*, prowadzonego przez *monsieur* Mazime'a Lavoisiera w Paryżu, w dniach od szesnastego lipca do dwudziestego piątego sierpnia”.

Anna nie wierzyła własnym oczom.

- Mazime Lavoisier...? - szepnęła z nabożną czcią. - *Mademoiselle* Watson to ja? - spytała z niedowierzaniem.

Spojrzała na nagłówek pisma, na którym - wzrok jej jednak nie mylił - widniało jej imię i nazwisko.

- To ja! - zawołała, klaszcząc w dłonie i podskakując. - *Mademoiselle* Watson to ja!

- Tak samo cieszyła się kiedy dostała swój pierwszy domek dla lalek, prawda? - zwróciła się jej mama do taty.

Ojciec skinął głową.

- Masz rację - zgodził się z nią. - Dokładnie tak samo skakała i klaskała w dłonie. Tylko że wtedy skończyła cztery lata, a dzisiaj siedemnaście.

- Mylicie się - przerwała im Anna stanowczo. - Nie mogłam się cieszyć tak samo, jeszcze nigdy w życiu nie cieszyłam się tak, jak w tej chwili.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - poprosiła mama, uśmiechając się. - Chciałabym mieć

pewność, że mnie słuch nie myli. Naprawdę cieszysz się z wyjazdu do Paryża?

- Tak. Ty i tata wygraliście. Naprawdę cieszę się z wyjazdu do Paryża!

Konflikt, który od jakiegoś czasu rzucał cień na stosunki między nią a rodzicami, związany był właśnie z Paryżem.

W rodzinie Watsonów istniała pewna tradycja. Wszyscy jej członkowie w ostatnie wakacje przed ukończeniem szkoły średniej wyjeżdżali do Europy, żeby zwiedzić Miasto Światła. Tak było z dziadkiem Anny ze strony ojca, z tatą i jego bratem Danielem. Wierne temu pozostało również rodzeństwo Anny - Laura, Steven i Georgie.

Nie tylko wyjazd do Paryża świadczył o przywiązaniu Watsonów do tradycji. Od iluś tam pokoleń wszyscy mężczyźni w tej rodzinie kończyli studia prawnicze i zostawali adwokatami, prokuratorami albo sędziami. W chwili gdy ojciec Anny ożenił się z prawniczką, rodzinna tradycja objęła także kobiety. Laura, podobnie jak jej bracia, skończyła prawo.

Tylko Anna miała zupełnie inne plany.

Już od dziecka miejscem, w którym najbardziej lubiła przebywać, była kuchnia. Nie mogłam wprawdzie tego pamiętać, bo miała wówczas zaledwie cztery lata, ale pierwszą książką, jaka ją poważnie zainteresowała, nie był tomik bajek, lecz stara ilustrowana książka kucharska, która przypadkiem wpadła jej w ręce. Podobnie za nic na świecie nie chciała zasnąć, jeśli któreś z rodziców nie przeczytało jej wieczorem przynajmniej jednego przepisu. Kiedy miała pięć lat, po raz pierwszy samodzielnie upiekła ciasteczka imbirowe - ponoć zupełnie zjadliwe - a jako sześciolatka smażyła wspaniałe naleśniki i omlety. W tym roku, jeśli chodzi o umiejętności kulinarne, prześcignęła własną matkę, która - jako kobieta pracująca - radziła sobie jedynie z odmrażaniem gotowych dań.

Nikt w rodzinie nie miał nic przeciwko jej kulinarnym zainteresowaniom, dopóki miesiąc temu nie oznajmiła, że nie traktuje tego wyłącznie jako hobby, ale wiąże z tym swoją zawodową przyszłość.

- Myślałam, że, tak jak Steve, Georgie i Laura, będziesz studiować prawo - powiedział ojciec, nie kryjąc rozczarowania.

- Wiem, że właśnie tego się spodziewaliście, ale to mnie w ogóle nie interesuje - odparła „Anna. - Poza tym, ilu może być prawników w jednej rodzinie? Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, jakie nudne bywają rozmowy w trakcie uroczystych kolacji czy innych posiłków?

- Nudne...? - powtórzyli za nią matka i ojciec jednocześnie.

- No, tak. - Anna bezradnie pokręciła głową. - Wam się pewnie wydaje, że nie ma nic ciekawszego niż rozprawianie o paragrafach, precedensach i kuczkach prawnych.

- A jest coś ciekawszego? - spytała mama, zerkając na ojca.

- Nie sądzę - odrzekł. - W każdym razie w tej chwili nic takiego nie przychodzi mi do głowy. - Więc spróbujcie sobie wyobrazić, że mogą być ciekawsze rzeczy.

- Jakie? - Zapytała matka tym swoim ironicznym tonem, którego Annę czasami tak irytował. - Na przykład, kwestia, czy do szarlotki dodać kardanom, czy cynamon? - Na przykład - rzuciła rozzłoszczona Anna. Mama natychmiast się zmitygowała.

- Przepraszam cię, kochanie. Nie chciałam cię obrazić, ja naprawdę nie lekceważę twojego hobby.

- Ale właśnie to zrobiłaś. I to nie jest już tylko moje hobby - sprostowała Anna. - To będzie mój zawód.

- Masz jeszcze czas, żeby się nad tym zastanowić. - wtrącił się ojciec ugodowym tonem. - Już podjęłam decyzję. Nie zostanę prawnikiem.

- Nikt cię do tego nie zmusza. Są przecież inne ciekawe zawody. Lekarz, biolog, psycholog... Ale kucharka?

- Dlaczego się tak krzywisz, wypowiadając te słowo? Nie mam zamiaru pracować w jakiejś garkuchni. Chcę zostać prawdziwym szefem kuchni, takim jak Rick Evigan. - Rick Evigan? - tata spojrział na mamę. - Wiesz, kto to taki? Matka wzruszyła ramionami. - Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

- Na jakim świecie wy żyjecie?! - oburzyła się Anna. - To jeden z najbardziej znanych mistrzów kuchni w Stanach Zjednoczonych. Napisał kilka bestsellerów. Ma swój program telewizyjny. Wszyscy go znają.

- Widać nie wszyscy - odrzekł ojciec - Bo ja o nim nie słyszałem. - Ja też nie - odezwała się mama.

- Właśnie... - Anna nie bez powodu akurat tego dnia rozpoczęła rozmowę o swojej zawodowej przyszłości. Teraz zastanawiała się, jak przejść do sedna sprawy. - Rick Evigan w lipcu poprowadzi w Nowym Jorku miesięczny kurs gotowania... Miała nadzieję, że rodzicom wystarczy ta informacja.

Rzecz jasna, byli na tyle domyślni, by wiedzieć, o co jej chodzi, tyle, że nie zamierzali jej niczego ułatwiać.

- No cóż... - Matka zrobiła taką minę, jakby kompletnie nie miała pojęcia, do czego córka zmierza. Annie zaschło w gardle. Musiała odchrząknąć, zanim powiedziała:

- Chciałabym wziąć udział w tym kursie. Sprawdzałam dziś w Internecie. Są jeszcze dwa wolne miejsca, ale musiałabym się pośpieszyć, bo jutro może ich już nie być.

- W lipcu lecisz przecież do Paryża - oświadczyła mama tonem, który zamykał dalszą

dyskusję.

- No właśnie - rzucił tata.

Anna jednak nie chciała dać za wygraną.

- To jeszcze nie jest postanowione - powiedziała.

- Co tu postanawiać? - rzuciła mama lekko zniecierpliwionym tonem. - Od dawna wiadomo, że ostatecznie wakacje przed skończeniem szkoły średniej spędzasz w Europie.

Dziewczyna bardzo musiała się wysilić, żeby jej głos zabrzmiał prawnie i zdecydowanie, kiedy powiedziała:

- To że Steven, Georgie i Laura przed ostatnią klasą wyjeżdżali do Paryża, nie znaczy jeszcze, że ja też muszę to zrobić.

- Musisz! - prychnął ojciec - Anno, czy y w ogóle wiesz, co mówisz? Zdajesz sobie sprawę, ile twoich rówieśników marzy o tym, żeby znaleźć się na twoim miejscu? Żeby spędzić wakacje w najpiękniejszym mieście świata?

- Owszem, jestem tego świadoma, co nie zmienia faktu, że ja wolałabym zostać tu, w Nowym Jorku, i wziąć udział w...

- Wiem - przerwała jej matka. - W kursie tego Rocka Jakiegoś tam.

- Ricka Evigana. - Anna spojrzała na mamę tak, jakby zapomniała nazwiska Jerzego Waszyngtona.

- Muszę iść do siebie - rzekł tata. - Mam mnóstwo pracy.

- Boże, ja też czeka mnie ton akt do przejrzenia. - Mama złapała się za głowę. - Wrócimy do tej rozmowy jutro! - zawołała z przedpokoju.

- Jutro może być za późno - rzuciła Anna, wiedząc, że i tak żadne z rodziców jej nie słyszy.

Kiedy następnego dnia weszła na stronę internetową Ricka Evigana, dowiedziała się, że lista uczestników lipcowego kursu została już zamknięta.

Zawiedzona, poszła do gabinetu mamy.

Ta nie odwróciła głowy, nie podniosła jej nawet znad papierów, nad którymi siedziała.

- W porządku - mruknęła, kiedy zasmucona dziewczyna wyrzuciła z siebie swój żal.

- W porządku?! - oburzyła się Anna. - Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

- Przepraszam - powiedziała matka. Okręciła się w obrotowym fotelu i dopiero teraz spojrzała na córkę. - Masz rację. Rzeczywiście cię nie słyszałam. Głowa mi pęka od tych papierzysk.

Powtórz, proszę o co chodzi.

- Nieważne - bąknęła Anna, wychodząc z gabinetu.

Dopiero następnego dnia przy kolacji wróciła do tego bolesnego dla niej tematu.

- Wygraliście - oznajmiła. - Spędzę wakacje w Paryżu.

Rodziców tak ucieszyła jej decyzja, że żadne z nich nie zwróciło uwagi na sarkastyczny ton córki.

- Wspaniale - powiedziała mama. - Wiedziałam, że to przemyślisz.

- Niczego nie przemyślałam. Polecę do Paryża, bo tu nie będę miała co robić. Na kursie Ricka Evigana nie ma już ani jednego wolnego miejsca.

- Ricka...? - Matka zmarszczyła czoło. - Ach, tak, to ten kucharz, o którym niedawno wspomniałaś.

- Mogłabyś używać innego tonu, kiedy wymawiasz słowo „kucharz”? - zachnęła się Anna. - Jeżeli ktoś nie jest prawnikiem, to nie znaczy, że należy go lekceważyć. A już na pewno nie Ricka Evigana, który jest... - Przez chwilę szukała właściwego słowa. W końcu je znalazła. - Tak, Rick Evigan jest artystą.

- Kochanie jesteś przewrażliwiona - odparła mama. - Zawsze oceniałam ludzi, po tym co sobą reprezentują a nie po tym, jaki zawód wykonują.

- Czyżby? - Anna popatrzyła na nią mrużąc oczy.

Matka chciała coś powiedzieć, ale spojrzała tylko na córkę tak, jakby czuła się głęboko urażona posądzeniem, że jest niedemokratyczna w ocenie ludzi.

- Zresztą to już nie ma znaczenia - oświadczyła Anna. - Tyle tylko, że straciłam swoją życiową szansę - dodała, może nieco zbyt melodramatycznie.

Ale ani mama, ani tata jakoś się tym nie przejęli.

Od tego dnia między nią a rodzicami zapanowała nieprzyjemna atmosfera. Anna niewiele się do nich odzywała. Sama nigdy nie zaczynała rozmowy. Kiedy ją o coś pytali, odpowiadała skinieniem albo kręceniem głowy, półsłówkami, a jeśli już musiała powiedzieć coś więcej, robiła to tak, żeby nie zapomnieli, że ma do nich żal.

A dziś... Piękniejszego prezentu urodzinowego nie mogła sobie wymarzyć. Skoro Rick Evigana uważała za artystę, to jak nazwać Maxme'a Lavoisiera, legendę *haute cuisine*?

Maxime Lavoisier, szef kuchni kilku najbardziej znanych paryskich restauracji, autor paru Książek, które Anna brała do ręki z taką nabożnością z jaką ludzie wierzący dotykają Biblii.

Był artystą nad artystami.

Urodziny Anny wypadły w piątek. W sobotę urządziła małą imprezę dla znajomych.

Zaprosiła niewiele osób - swoją najlepszą przyjaciółkę, Diane, jej chłopaka, Robina, oraz Dereka, z którym znała się od dziecka, a także jego dziewczynę, Melanie, i Zacha z Suzanne.

Chodzili do tej samej szkoły i od jakiegoś czasu stanowili zgraną paczkę. Kiedy Anna zdecydowała się zorganizować przyjęcie, zaproszenie ich wydawało jej się absolutnie oczywiste. Był jednak jeszcze ktoś, kogo bardzo chciała zobaczyć na swoich urodzinach - David Seagal.

Jego również znała ze szkoły, jednak - w przeciwieństwie do pozostałej szóstki - nie był jej przyjacielem. Jeszcze nie. Ale marzyła o tym, żeby zmienić ten stan rzeczy.

David chodził do ostatniej klasy. Znała go z widzenia. Należał do tych chłopaków, którzy przyciągają spojrzenia dziewczyn, i Anna nie była tu wyjątkiem.

Przed miesiącem, kiedy oboje czekali w szkolnej bibliotece na zamówione książki, po raz pierwszy zamieniła z nim kilka słów.

Potem, mijając się na korytarzu, mówili sobie „Cześć”, a tydzień przed urodzinami Anny podszedł w stołówce do jej stolika i zapytał, czy może się przysiąść. Czekala wprawdzie na Diane, a mimo to odruchowo skinęła głową. Byłaby skończoną idiotką, gdyby nie skorzystała z takiej okazji.

- Przeczytałaś już Kerouaca? - spytał, zanim zabrał się za jedzenie.

Anna spojrzała na niego zdumiona. Zupełnie zapomniała, że był przy tym kiedy bibliotekarka wręczyła jej książkę. Kiedy o tym wspomniał, ucieszyła się, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, sprawiło jej przyjemność, że zainteresował się, co pożyczca, a po drugie, miała szczęście, że akurat tego dnia nie wzięła jakiegoś banalnego kryminału albo romansu, tylko poważną lekturę.

- Jasne, że przeczytałam. Już dawno oddałam go do biblioteki. Jest świetny. Radzę ci wypożyczyć.

- Nie muszę. Mam w domu wszystkie książki Kerouaca.

- Nie mów mi, że wszystkie je przeczytałeś.

David bez fałszywej skromności skinął głową.

W spojrzeniu, które rzuciła mu Anna, brył się niekłamany podziw. Zaimponował jej; nie potrafiła tego ukryć.

Wymienili uwagi na temat twórczości Jacka Kerouaca, Kena Keseya i kilku innych autorów.

Rozmawiało im się wspaniale. Nagle Anna zauważyła wchodzącą do stołówki Diane, Melanie i Suzanne i z żalem pomyślała, że kiedy usiądą przy jej stoliku, miła konwersacja z Dawidem nieuchronnie się skończy.

Nie miała szansy dać przyjaciółce jakiegoś znaku, ale Diana właściwie odczytała jej spojrzenie i pociągnęła zaskoczone tym koleżanki do innej części stołówki.

- Dano z nikim mi się tak dobrze nie rozmawiało - rzekł David, kiedy rozstawali się po lunchu.

- Dzięki. Chciałam ci powiedzieć to samo, ale byłeś pierwszy, więc powinnam wymyślić coś innego, ale akurat nic mi nie przychodzi do głowy.

Roześmiał się.

- W każdym razie przy najbliższej okazji powinniśmy to powtórzyć.

- Chętnie - zgodziła się Anna. Nagle wpadła na pomysł. - Słuchaj - rzuciła zanim zdążyła to przemyśleć. - W sobotę urządzam przyjęcie. Może miałabyś wpaść?

Chłopak był wyraźnie zaskoczony. Czekając na jego reakcje, Anna żałowała, że wyskoczyła z tą propozycją. Jak można zapraszać na urodziny kogoś, kogo prawie się nie zna?

- Z przyjemnością - odparł David.

Przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając się, czy się zgodził, ponieważ nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji, czy rzeczywiście miał ochotę przyjść. Wyglądał jednak tak, jakby naprawdę się cieszył.

- To nie będzie wielka impreza - uprzedziła go. - Tylko kilka osób, więc może nadarzy okazja, żeby trochę porozmawiać.

- Mam nadzieję! - rzucił, uśmiechając się.

Anna powiedziała mu, o której rozpoczyna się przyjęcie, i podała swój adres. David zapisał go i poprosił jeszcze o numer telefonu.

- Gdybyś nie mógł przyjść, to daj jakoś znać - poprosiła, wyobraziła sobie bowiem, jak byłaby rozczarowana, gdyby się jednak nie zjawił.

- Przyjdę - zapewnił ją.

- W takim razie cześć. Do soboty - Niby się pożegnała, ale nie odeszła. Trudno jej było się z nim rozstać. I to po ich pierwszej dłuższej rozmowie. Co będzie po kolejnych? - pomyślała przerażona.

On jednak również nie ruszył się z miejsca.

- Muszę już lecieć - bąknęła, kiedy poczuła się trochę niezręcznie.

- A właśnie! - zatrzymał ją David. - Czy ta impreza odbędzie się z jakiej okazji?

- Tak, z okazji urodzin - odparła z ociąganiem. - Ale to bez znaczenia - dodała, lekceważąco machając ręką. - To zwykłe spotkanie kilkorga znajomych.

Jak na „zwykłe spotkanie kilkorga znajomych” Anna włożyła niesłychanie dużo pracy w przygotowania. Piątkowy wieczór i sobotnie przedpołudnie spędziła w kuchni, a wcześniej poświęciła wiele godzin na wetowanie książek kucharskich i ustalenie menu oraz wędrowki po sklepach w poszukiwaniu wszystkich potrzebnych wiktuałów.

Efekt zaskoczył nawet ją samą. Godzinę przed przyjęciem wszystko było już gotowe. Na stole w jadalni, który wcześniej z pomocą ojca przesunęła pod ścianę tak, żeby mógł służyć jako bufet, ułożyła własnoręcznie przygotowane smakołyki. Na mniejszym stoliku obok stały napoje, naczynia i sztuce.

Anna, niezmiernie zmęczona, ale bardzo zadowolona, oceniła swoje dzieło.

- Co za przyszłości! - zawołał ojciec.

Dziewczyna odwróciła się. Mama i tata, ubrani do wyjścia, stali w drzwiach jadalni. Należeli do tych wyrozumiałych rodziców, którzy kulturalnie opuszczają dom, kiedy dzieci urządzają przyjęcie, zostawiając im tak zwaną „wolną chatę”. Dzisiaj wybierali się do teatru, a potem na kolację.

- Aż żał mi wychodzić - rzekł ojciec, podchodząc do stołu.

- Proszę, nie! - zawołała Anna, widząc, że tata wyciąga rękę do jednego z półmisków.

- Zburzysz mi całą kompozycję.

- Nie pozwolisz rodzonemu ojcu wziąć ani ociupinki? - spytał zawiedzionym głosem, wciąż trzymając dłoń nad stołem.

- Jasne, że pozwolę, ale nie stąd. Wszystko jest w lodówce. Zostawiłam specjalnie dla was.

- Moja kochana córeczka!

Anna odetchnęła z ulgą, kiedy ręka ojca znalazła się wreszcie w mniej niebezpiecznym miejscu.

- Chociaż, szczerze mówiąc, nie wiem, po co to zrobiłam - powiedziała zadziornie. - Macie przecież zarezerwowany stolik. A właśnie! W końcu gdzie idziecie na tę kolację?

- Do La Petit Trianon - oznajmiła matka, która tymczasem podeszła do bufetu i z podziwem przyglądała się efektownie ułożonym potrawom.

- Fiu, fiu! - Anna знаła tę wykwitną restaurację. Przed kilka laty, kiedy dziadek został sędzią Sądu Najwyższego, zaprosił do niej całą rodzinę na uroczysty obiad. - Kiedy wrócę z

Paryża, przygotowuje lepszą kolację niż w La Petit Trianon - obiecała.

Wiedziała, że coraz lepiej radzi sobie z gotowaniem, zdawała sobie jednak sprawę, że musi się jeszcze wiele nauczyć, a trudno sobie wyobrazić lepszego mistrza niż monsieur Maxime Lavoisier.

- Trzymam się za słowo - rzekł ojciec.

- Bacie się dobrze - powiedziała mama. - Ale nie wywróćcie domu do góry nogami.

- To będzie kulturalne przyjęcie - odparła Anna z udawanym oburzeniem - A nie jakaś dzika impreza.

Kiedy rodzice wyszli, jeszcze raz rzuciła okiem na bufet. Przetawiała dwa półmiski, ale uznawszy, że tak jak były przed chwilą, całość tworzyła efektowniejszą kompozycję kolorystyczną, postawiła je na poprzednich miejscach.

Zastanowiła się, czy jeszcze czegoś nie zmienić, ale kiedy spojrzała na zegarek, zorientowała się, że zostało jej już niewiele czasu na prysznic, umycie i wysuszenie włosów, przebranie się i makijaż.

Za dwie siódma przejrzała się w lustrze i zadowolona ze swojego wyglądu, stwierdziła, że pozostanie jej już tylko czekać na pierwszych gości. W tym samym momencie rozległ się dzwonek.

Pierwsi zjawili się Diane i jej chłopak, Robin.

- Przepraszam, jeśli jesteśmy za wcześnie - rzuciła Diane. - Pomyślałam, że może przyda ci się pomoc.

- Nie, wszystko jest już gotowe - pochwaliła się Anna. - Ale dzięki za dobre chęci.

Pierwsi zjawili się Diane i jej chłopak, Robin.

- Przepraszam, jeśli jesteśmy za wcześnie - rzuciła Diane. - Pomyślałam, że może przyda ci się pomoc.

- Nie, wszystko jest już gotowe - pochwaliła się Anna. - Ale dzięki za dobre chęci.

- Wyglądasz rewelacyjnie! - zawołała Diane, kiedy znaleźli się w jasno oświetlonym holu. - Właśnie tak wyobrażałam sobie tę kieckę, kiedy mi o niej opowiadałaś.

Anna miała na sobie ciemnozieloną sukienkę z lejącego się materiału, pod biustem ozdobioną blad różową satynową wstążką. Sięgający kolan dół był efektownie zakończony. Kupiła ją przed tygodniem - tego samego dnia, kiedy zaprosiła Davida - z myślą o dzisiejszej imprezie.

Rozpromieniona, okręciła się; dół sukienki utworzył coś na kształt bombki.

- Fantastycznie - zachwyciła się Diane, po czym zwróciła się do swojego chłopaka: - A ty? Czemu nic nie mówisz?

- Bo czekam, kiedy będę mógł złożyć Annie życzenia i dać jej kwiaty - powiedział Robin.

- Właśnie! - zawołała Diane. - Wszystkiego najlep... - Nie skończyła, bo rozległ się dzwonek.

Anna, idąc do drzwi, powtarzała w myślach: „Niech to będzie on!”. Ale w progu stali Derek i Melanie.

Poczuła rozczarowanie i żeby to ukryć, przywitała ich z nietypową dla siebie egzaltacją.

Kiedy dziesięć minut później znów usłyszała dzwonek, w drodze do drzwi, żeby uniknąć zawodu, mówiła sobie: „To na pewno Suzanne i Zach”. I rzeczywiście, to byli oni.

- Już nikt więcej nie przyjdzie, prawda? - spytała Diane, kiedy wszyscy złożyli jubilatce życzenia i wręczyli jej kwiaty i prezenty.

Anna, w obawie, że David się nie zjawi, nie przyznała się, że go zaprosiła. Teraz udawała więc, że nie usłyszała pytania.

- W takim razie możemy chyba zaczynać - powiedział Derek, który nie odstępował od bufetu i czekał tylko na sygnał, że można się częstować. - Tyle tu pyszności, że jeśli nie zabierzemy się za nie zaraz, nie uporamy się z nimi do północy.

- Żartujesz - rzuciła jego dziewczyna. - Ty sam sprzątnąłbyś to w ciągu kwadransa.

- Bo jestem prawdziwym smakoszem.

- Smakosz! - prychnęła Melanie. - Nie wydaje mi się, żeby kogoś, kto potrafi zeżreć, jeden po drugim, trzy hamburgery, tak jak ty wczoraj, można było nazwać smakoszem.

- Byłem po dwugodzinnym treningu - bronił się Derek. - Miałem prawo być głodny. Ale zapytaj Annę. Ona zna mnie od małego i wie najlepiej, że znam się na dobrej kuchni. Niech ci powie, kto pierwszy docenił jej talent kulinarny.

Anna nie przyszła przyjacielowi z odsieczą. W ogóle nie słyszała, o czym mówił. Uświadomiła sobie, że David już się nie zjawi, i zaczynała być na siebie wściekła, że go zaprosiła. Obiecał, że da jej znać, gdyby nie mógł przyjść, ale ją zlekceważył.

Tak to jest, jak się zaprasza na imprezę z najbliższymi przyjaciółmi niemal obcego chłopaka - pomyślała z goryczą.

- Co się dzieje? - spytała ją cicho Diane. - Jesteś jakaś smutna.

- Smutna? Nie, skądże! Jak można być smutną na własnym przyjęciu urodzinowym? - powiedziała Anna, wkładając w te słowa tyle przekonania, że sama w nie uwierzyła.

- No właśnie.

Są wszyscy, których lubię. Będę się dobrze bawić - przyrzekła sobie, ale zanim

zdażyła wdrożyć myśli w czyn, rozległ się dzwonek.

- Jeszcze jacyś goście? - spytał Derek.

- Dostawca pizzy - zażartowała Anna. - Specjalnie dla ciebie. Skoro tak przepadasz za fast foodem.

- Widzisz, co narobiłaś? - zwrócił się Derek do Melanie. - Zrujnowałaś mi opinię.

Anna już go nie słyszała. Dopóki pozostali ją widzieli, szła normalnym krokiem, ale kiedy tylko znikła im z oczu, zaczęła biec. Z bijącym szybko sercem otworzyła drzwi.

Za progiem stał David.

- Przepraszam za spóźnienie, ale pobłądziłem. Zupełnie nie znam tej okolicy.

- Trzeba było zadzwonić. Wytłumaczyłabym ci, jak dojechać.

- Miałem plan miasta, więc myślałem, że sobie poradzę. Bardzo cię przepraszam.

- No coś ty! Nic się przecież nie stało. Wejdz, proszę.

David złożył jej życzenia, po czym wręczył kremową różę i prezent.

- Mam zgadnąć, co jest w środku? - spytała z uśmiechem. - Ale uprzedzam cię, że przed chwilą udało mi się odgadnąć wszystkie prezenty.

- Spróbuj.

- Książka - powiedziała z pewnością siebie.

- Zgadza się. Ale tego akurat nietrudno się domyślić, sądząc po kształcie, wadze i tak dalej.

Anna była gotowa się założyć, że wie, jaka to książka, chciała jednak pozostawić Davidowi wrażenie, że sprawił jej niespodziankę.

- Hmm... Niech się chwilę zastanowię. - Zmarszczyła czoło. - Powieść?

Chłopak skinął głową.

- Autor czy autorka? Wzruszył ramionami.

- Autor - rzuciła Anna, udając, że strzela na chybił trafił.

- Trafiony, zatopiony.

- Czy kiedy w zeszłym tygodniu rozmawialiśmy w stołówce o książkach, padło jego nazwisko? - zapytała Anna.

Obawiała się, że Davida może nudzić ta zabawa, ale chciała odwlec chwilę, kiedy wejdą do salonu. Woląła z nim zostać sama i chyba trochę się bała jego spotkania z innymi. Teraz żałowała, że nie wspomniała - przynajmniej Diane - że go zaprosiła.

- Owszem, padło - odparł David.

- Jack Kerouac?

- No tak, rozmawialiśmy głównie o nim.

- *Włóczędzy Dharmy?* - Nie czytała tej książki, ale David tak się nią zachwycił, że była niemal pewna, że właśnie ją przyniósł w prezencie.

- Zgadłaś. Gratuluję.

- Uprzedzałam, że jestem w tym dobra - powiedziała, uśmiechając się. - Ale nie będziemy stać w holu. Chodź, poznasz moich znajomych.

Wszyscy byli zaskoczeni pojawieniem się nowego gościa, ale o ile na twarzach dziewczyn malowała się ciekawość, o tyle chłopcy zachowali się tak, jak zwykle młodsi chłopcy reagują na starszego kolegę, zwłaszcza jeśli jest on popularny wśród dziewcząt. W ich oczach pojawił się błysk zazdrości.

- A pizza? - spytał Derek, kiedy Anna przedstawiła Davida.

David popatrzył na nią, nieco zdezorientowany. Przesłała przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie. Nie mógł go nie zauważyć, a mimo to ciągnął:

- No, gdzie ta pizza?

- Daj spokój, Derek. Przecież wiesz, że się wygłupiałam. - Tym razem jej wzrok był tak morderczy, że Derek zamilkł.

W ciągu całego wieczoru nie przegapił jednak żadnej okazji, żeby dobrać Davidowi, rzucić pod jego adresem jakąś złośliwą uwagę albo posłać mu lekceważące spojrzenie. Zach i Robin zachowywali się zresztą podobnie. Anna na początku próbowała coś z tym robić, ale w końcu, widząc, że David sam sobie świetnie radzi, zrezygnowała. Prawdopodobnie właściwie zinterpretował te ataki i odpowiadał na nie z dowcipem oraz pewną pobłażliwością. No, a poza tym wrogość chłopców rekompensowała mu sympatia okazywana przez dziewczyny.

Kiedy Anna poszła do kuchni po pieczywo, Diane skorzystała z okazji, żeby pogadać chwilę sam na sam, i poszła za nią.

- No proszę, proszę! - rzuciła. - Jak brzmi to przysłowie...? Coś o cichej wodzie...

- Tak? - Anna uśmiechnęła się, że nie wie, do czego zmierza przyjaciółka. - I co z tą cichą wodą?

- No wiesz, niby taka spokojna, żadnego chłopaka w pobliżu... A tu nagle, jak się już jakiś pojawia, to kto?

Anna zrobiła minę niewiniątka.

- Poderwałaś Davida Seagala! - zawołała jej przyjaciółka.

- Ciii... Nie wydzieraj się tak! A poza tym wcale go nie poderwałam.

- Więc co on tu robi? Anna wzruszyła ramionami.

- Po prostu go zaprosiłam.

- Tylko dlaczego robiłaś z tego taką tajemnicę?

- Nie robiłam tajemnicy - odparła Anna, krojąc bagietkę. - Nie mówiłam ci o tym, bo

nie byłam pewna, czy przyjdzie.

- O rany! - Diane pokręciła głową. - Wiesz, że dziewczyny obędrą cię z zazdrości ze skóry, kiedy się dowiedzą, że ze sobą kręcicie.

- Nie kręcimy ze sobą - zaprotestowała Anna. - Kilka razy rozmawialiśmy, głównie o książkach, to wszystko.

- Daj spokój, przecież widzę, że mu się podobasz.

- Nie sądzę. - Anna zastanawiała się przez chwilę. - Wiesz, że on słowem nie napomknął o tym, że przygotowałam dobre jedzenie. Wszyscy inni się zachwycają, a on nawet nie pisał na ten temat. - Nie przyznała się przyjaciółce, że właśnie przez wzgląd na niego włożyła aż tyle trudu w przygotowanie dzisiejszego przyjęcia.

- Może się nie zna na dobrym jedzeniu. Są przecież ludzie, którzy mają zachwiany zmysł smaku. Uszkodzenia kubków smakowych czy coś w tym stylu.

Anna kiwnęła głową.

- Czuję się trochę tak, jakbym była śpiewaczką operową, która zaprosiła na swój recital głuchego faceta.

- Nie przesadzaj. Ważne, że mu się podobasz - oświadczyła Diane.

- Tego wcale nie wiem - powiedziała Anna, wkładając kawałki bagietki do koszyka. - Chodź, wracamy - rzuciła, a idąc do salonu, pomyślała, że bardzo by chciała, żeby to, co powiedziała przyjaciółka, okazało się prawdą.

Kiedy pół godziny później trzeba było przynieść lód, Derek zaproponował, że z nią pójdzie.

- Co tu robi ten palant? - spytał bezceremonialnie, kiedy znaleźli się w kuchni.

- Jeśli mówisz o Davidzie, to go zaprosiłam - odparła spokojnie, chociaż poczuła irytację.

Derek był jej przyjacielem, znali się od dziecka, ale to nie dawało mu jeszcze prawa, żeby krytykować Davida.

- Czy ty i on...? Czy wy ze sobą...?

- Chcesz wiedzieć, czy ze sobą chodzimy? ~ spytała, nabierając lodu do metalowego kubelka.

Skinął głową.

- Odpowiedź brzmi: nie. Ale nawet gdyby tak było, to co? Nie mogę się z kimś spotykać?

- Jasne, że możesz. Ale dlaczego akurat z nim? Bo jest przystojny, inteligentny, zabawny i ma tę pewność siebie, którą ty będziesz miał dopiero za rok, mogła odpowiedzieć

Anna. Nie zrobiła tego jednak, nie chcąc wzbudzać w Dereku jeszcze większej zazdrości. Nie wspomniała również o tym, że ona też nie była zachwycona Melanie, kiedy zaczął się z nią spotykać pół roku temu. Nie podzieliła się z nim swoimi zastrzeżeniami na temat jego wybranki. Teraz wiedziała, że myliła się wtedy co do Melanie, i cieszyła się, że zrobiła wszystko, żeby ją zaakceptować. Nawet nie zauważyła, kiedy zdażyła ją polubić.

Według niej, tak właśnie zachowują się prawdziwi przyjaciele. A jednak coś jej mówiło, że po Dereku nie może się spodziewać takiej postawy.

- A dlaczego nie z nim? - odpowiedziała na jego pytanie. - Masz coś przeciwko niemu?

- Nie ufam mu.

- jak możesz mówić o zaufaniu albo braku zaufania do kogoś, kogo nie znasz? Przecież do dzisiaj nie zamieniłeś z nim ani słowa.

- To prawda. Ale słyszałem o nim różne rzeczy.

- Jakie? - spytała, patrząc mu prosto w oczy. Derek rozłożył ręce.

- Różne - rzucił i chciał wyjść z kuchni.

Anna, podejrzewając, że chłopak zmyśla, postanowiła nie dać mu się tak łatwo wywinąć od odpowiedzi. Złapała go za ramię i zatrzymała.

- Jakie? - powtórzyła.

Nie myliła się. Derek, który nie mógł przedstawić żadnych żelaznych zarzutów przeciwko Davidowi, był wyraźnie zakłopotany.

- No więc jeśli dowiesz się o nim czegoś konkretnego i będziesz miał pewność, że nie są to jakieś wysrane z palca plotki, to mi powiedz, dobrze?

Wzięła kubek z lodem i wyszła z kuchni. W holu zatrzymała się, odwróciła i popatrzyła na Dereka, który szedł za nią ze spuszczoną głową.

- A na razie bardzo cię proszę, powstrzymaj się ze swoimi komentarzami na temat Davida - powiedziała.

- Przepraszam cię - rzucił cicho. - Naprawdę nie chciałem ci sprawić przykrości, a już na pewno nie na twoim przyjęciu urodzinowym. Ale wiesz, ja cię strasznie lubię i nie chciałbym, żeby jakiś facet cię zranił.

Kochany Derek! Miał swoje wady, był jednak dobrym chłopakiem, na którym zawsze mogła polegać, a teraz z jego słów przebijała szczerłość.

- Dzięki. - Objęła go i pocałowała w policzek. - Ale posłuchaj mnie uważnie. Ty sam wybrałeś sobie Melanie, prawda? Pozwól więc, że ja też sama wybiorę chłopaka, z którym się będę spotykać.

Posłusznie skinął głową.

Anna uśmiechnęła się i dodała:

- I jeszcze wcale nie wiem, czy to będzie David.

Kilka godzin później już coś jednak wiedziała.

David wyszedł jako ostatni i zanim się z nią pożegnał, zapytał, czy nie miałyby ochoty wybrać się z nim następnego dnia do kina.

3

Anna wcale się nie zmartwiła, kiedy, stojąc w kolejce po bilety, ona i David zorientowali się, że projekcja filmu, na który zamierzali się wybrać, rozpoczęła się przed kwadransem.

Przez jakiś czas nie mogli się zdecydować, czy pójść do innego kina, czy obejrzeć inny film.

- A może po prostu skoczmy się czegoś napić i pogadamy? - zaproponował David.

Spodobał jej się ten pomysł, więc od razu się zgodziła.

W niedzielne wieczory, kiedy kończy się weekend i ludzie zaczynają myśleć o pracy albo szkole, miasto zwykle pustoszeje. Dzisiaj jednak - może dlatego, że był to pierwszy upalny dzień w tym roku - wszystkie kawiarniane ogródki okazały się zatłoczone, a wieczór był zbyt piękny, żeby go spędzać w klimatyzowanym wnętrzu.

Minęli kilka przecznic, zanim udało im się wypatrzeć zwalniający się stolik.

- Właściwie to się cieszę, że spóźniliśmy się na film - powiedział David, kiedy usiedli na wiklinowych krzesłach przy małym okrągłym stoliku.

- Wiesz, że ja też.

Anna, oczywiście, przemilczała fakt, że szykując się dziś do wyjścia, żałowała, że siedząc w ciemnym kinie, David nie będzie mógł należycie ocenić rezultatu jej przygotowań. A przygotowywała się wyjątkowo starannie, bo - nawet jeśli się do tego sama przed sobą nie przyznawała - w głębi duszy uważała to spotkanie za swoją pierwszą w życiu randkę.

Wieczór był wspaniały, niebo rozgwieżdżone, księżyc w pełni - jednym słowem idealne warunki na romantyczną randkę.

- Chyba też zamówimy lody, prawda? - spytał David, patrząc na kelnerkę, która niosła zamówienie do sąsiedniego stolika.

Anna, zerkając na olbrzymie pucharki z kompozycjami lodowymi, musiała bardzo się starać, żeby się nie skrzywić. Nie mogła im zarzucić, że nie były efektowne, przeciwnie. Czego w nich nie było! Orzechy - laskowe, włoskie i pekanowe - wiórki kokosowe, wiśnie, jagody, truskawki, plasterki bananów, kawałki ananasów, cukrowe drobne kuleczki we wszelkich możliwych kolorach, nawet złotym i srebrnym, bita śmietana, a do tego sosy - sądząc po barwach, we wszystkich możliwych smakach.

- To musi być fantastyczne - powiedział David, pokazując imponująco prezentujący się deser w kolorowym menu.

- Mroźny Szał Tropików - przeczytała Anna. - Hmm... - mruknęła, z trudem powstrzymując uwagę, że o smaku, podobnie jak o guście, się nie dyskutuje.

Kategorycznie nakazała sobie rozwagę. Była - wreszcie! - na pierwszej randce, i to z chłopakiem, który bardzo jej się podobał. Jeśli chciała, żeby miał ochotę umówić się z nią po raz drugi, powinna zapomnieć o własnych - być może zbyt wysublimowanych? - upodobaniach kulinarnych.

Przywołując na twarz uśmiech, który, wedle jej oceny, powinien być uznany za znak, jeśli już nie zachwytu, to przynajmniej aprobaty, zaczęła czytać opis deseru polecanego przez szefa kuchni. Nie mogła jednak przestać myśleć o tym, jak to jest możliwe, że ktoś, kto poleca coś takiego, mógł zostać szefem kuchni.

- Kompozycja lodów waniliowych, czekoladowych, truskawkowych, kawowych, jagodowych i imbirowych oraz świeżych owoców, zwieńczona orzechami, kawałkami białej czekolady, bitą śmietaną, syropem klonowym i sosem karmelowym.

Kiedy wyobraziła sobie połączenie tych wszystkich smaków, zrobiło jej się niedobrze, lecz mimo to, wciąż z uśmiechem na ustach, rzuciła:

- Brzmi zachęcająco.

- W takim razie już mamy ustalone, co zamawiamy. - Zadowolony David wyciągnął rękę, żeby wziąć od Anny menu.

Przerażona, złapała je mocniej i przycisnęła do piersi. Dopiero po chwili, widząc, że chłopak, zaskoczony tą dziwną reakcją, przygląda jej się uważnie, odłożyła je na stół.

- Wiesz, ja jednak nie mam ochoty na lody.

- Jesteś pewna? Ja stawiam - próbował ją zachęcić David.

- To miło z twojej strony, ale za lody dziękuję. Chętnie napiję się mrożonej herbaty.

- Ach, wy, dziewczyny, z tym waszym odchudzaniem... - mruknął, kręcąc głową.

Anna nigdy nie rezygnowała z jedzenia czegoś z powodu kalorii. Po prostu ich nie liczyła i nie miała problemów z nadwagą. Nie wyglądała wprawdzie jak modelka, ale też wcale jej na tym nie zależało. Nie uważała siebie za piękność, ale nie narzekała na swój wygląd i lubiła siebie taką, jaka była.

Nic więc dziwnego, że nie spodobała jej się uwaga Davida. Czyżby uważał, że powinna się odchudzać?

Korciło ją, żeby go o to zapytać, i być może by to zrobiła, gdyby nie podeszła kelnerka.

David zamówił Mroźny Szał Tropików, a Anna, myśląc o tym, że tutejszy szef kuchni jest równie beznadziejny w łączeniu smaków, co w wymyślaniu oryginalnych nazw dla

swoich potraw, poprosiła o zieloną mrożoną herbatę.

- Dietetyczną czy normalną? - spytała kelnerka.

Dziewczyna popatrzyła na nią uważnie, zastanawiając się, czy w jej pytaniu coś się kryje. W uśmiechniętej buzi miłej kobiety nie wyczytała żadnej odpowiedzi.

- Oczywiście, że normalną - odparła głośno i zdecydowanie, zerkając przy tym na Davida.

Nie mogła jednak zobaczyć wyrazu jego oczu, ponieważ właśnie w tym momencie odwrócił się, żeby popatrzeć na dwie dziewczyny, które, głośno stukając obcasami, przeszły obok kawiarni. Anna dostrzegła je, dopiero kiedy ją minęły. Nie widziała ich twarzy, ale zauważyła, że są wysokie i bardzo szczupłe.

Nieznajome dziewczyny o figurach modelek wyraźnie przyciągnęły uwagę chłopaka, z którym była na randce. Odprowadzał je spojrzeniem zdecydowanie za długo.

Starając się nie okazywać, jak ją to zabolalo, Anna z pozorną beztruską rozejrzała się. W pewnej chwili w oknie kawiarni zobaczyła swoje odbicie. Była niezgrabna, gruba i bezkształtna. Wyglądała po prostu beznadziejnie.

To niespodziewane odkrycie ją poraziło. Prysłły wszystkie nadzieje, które wiązała z dzisiejszym spotkaniem. Przygnębiona, odwróciła wzrok od okna. Prawdopodobnie gdyby nie zrobiła tego tak szybko, zdołałaby dostrzec, że - z powodu oświetlenia albo właściwości szkła - szyba znacznie poszerzała wszystko, co się w niej odbijało.

Poczuła, że jej pierwsza randka będzie katastrofą. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zawrócić myśli Anny, które zaczęły biec w jednym kierunku: jestem brzydka, niezgrabna, koszmarna i chłopak taki jak David nie może we mnie widzieć nic atrakcyjnego.

Więc po co się ze mną umówił? - podszeptowała jej ta część mózgu, w której mieszkają nadzieje.

Ale w innej jego części - tam, gdzie ulokowały się rozsadek i logika - natychmiast znalazła się odpowiedź.

Lubi Kerouaca. Dobrze rozmawiało mu się ze mną o książkach. To wszystko. Kiedy wpadłam na idiotyczny pomysł, żeby zaprosić go na urodziny, przez grzeczność nie odmówił. A potem - również z grzeczności - w ramach rewanżu umówił się ze mną do kina. Po prostu jest dobrze wychowany, i tyle. Chociaż z drugiej strony, czy dobrze wychowany chłopak, siedząc w kawiarni z dziewczyną, ogląda się tak ostentacyjnie za innymi dziewczynami?

Anna nie widziała ich, ale wciąż słyszała stukot obcasów.

- Właśnie to ci grozi - powiedział David wesołym głosem, wyrrywając ją z zamyślenia.

- Grozi? - zdziwiła się. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi. - Co mi grozi?

- Że będziesz tak klekotać kośćmi jak te dwie.

- Jakie dwie? - Nie miała wątpliwości, kogo miał na myśli, ale udała, że nie wie, o kim mowa.

- Przed chwilą przechodziły tędy jakieś dwie anorektyczki. Były tak chude, że kiedy nas mijaly, słyszałem, jak klekotały im kości.

Anna prawdopodobnie jeszcze nigdy w życiu nie przeżyła tak nagłej zmiany nastroju. Jej myśli w ułamku sekundy zmieniły tor, przygnębienie się ulotniło. Wieczór, który przed chwilą uznała za stracony, wydawał się uratowany.

- Nie mogłeś słyszeć klekotu kości - powiedziała, uśmiechając się.

- A właśnie, że tak - upierał się David ze śmiertelnie poważną miną. Zamilkł i przechylił głowę. - O! - zawołał. - Wciąż jeszcze słyhać. Stuk, stuk, stuk...

Anna popatrzyła na ulicę. Dziewczeta musiały skręcić w pierwszą przecnicę; nie było ich widać, ale z oddali dochodził stukot ich obcasów.

Roześmiała się.

- No widzisz! - rzucił David. - Teraz mi wierzysz.

- Wierzę, że nie odróżniasz stukotu obcasów od klekotu kości, ale że sama nigdy nie słyszałam klekotu kości, nie potrafię ci wyjaśnić, jaka jest różnica między tymi dźwiękami.

- A ja ci mówię, że to był klekot kości.

Kiedy po chwili kelnerka przysłała z lodami i mrożoną herbatą, Anna była już w tak świetnym humorze, że nawet bez obrzydzenia spojrziała na olbrzymi pucharek z Mroźnym Szałem Tropików.

- No dobrze - odezwała się ugodowo. - Nie będę się spierać co do tego, jakie odgłosy przy poruszaniu wydawały te dziewczyny, które nas minęły, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego mnie miałyby grozić klekotanie kośćmi.

David uśmiechnął się i zmierzył ją wzrokiem. Jego spojrzenie było być może trochę zbyt natarczywe, nie mogła jednak nie przyznać, że sprawiło jej przyjemność.

- Teraz wyglądasz fantastycznie - powiedział i zrobił dłuższą przerwę. - Tylko, jeśli się będziesz odchudzać...

- Ależ ja się nie odchudzam! - zaprotestowała Anna.

- A lody? - Wskazał na swoją porcję. - Dlaczego nie chciałaś?

- Bo akurat nie miałam ochoty. Naprawdę się nie odchudzam. Nigdy nawet nie przyszło mi to do głowy - zapewniła go. - Zresztą tu masz dowód. - Wskazała oszronioną szklanke. - Gdybym się odchudzała, piłabym wyłącznie niskokaloryczne napoje. - Żeby wzmocnić swoje słowa, duszkiem wypła połowę mrożonej herbaty.

- Przekonałaś mnie. - Znów zmierzył ją tym nieco zbyt natarczywym spojrzeniem. - Mnie się podobasz właśnie taka, jaka jesteś - dodał przyjemnie niskim, lekko ochrypłym głosem.

Słowa, spojrzenie i ton chłopaka sprawiły, że Annie było bardzo przyjemnie, tak przyjemnie, że nie przyszło jej na myśl, że prawienie komplementów przychodzi mu być może trochę za łatwo. Przez resztę wieczoru czuła się wspaniale, tak wspaniale, że nie zwróciła uwagi, że kiedy rozmawiali, David mówi wyłącznie o sobie. Podczas gdy ona wypytywała go o różne rzeczy dotyczące jego planów, rodziny czy przyjaciół, on nie zadał ani jednego pytania. Prawdę powiedziawszy, nic a nic jej to nie przeszkadzało - fascynował ją tak bardzo, że chciała o nim wiedzieć jak najwięcej.

Słuchała go uważnie, nie spuszczać wzroku z jego twarzy, jakby w obawie, że umknie jej coś z tego, co opowiada. Nie odwracała spojrzenia również wtedy, gdy pałaszował Mroźny Szał Tropików. Nawet kiedy końcówka lodów się roztopiła i zmieszała z sosami oraz innymi dodatkami, tworząc mało estetyczną breję, której widok w innej sytuacji wywołałby u Anny mdłości, patrzyła na niego z podziwem i dużą przyjemnością.

W chwili gdy się na tym złapała, doszła do jedyne go możliwego wniosku: że jest w Davidzie zakochana.

Anna po raz kolejny spojrzała na zegarek. Od dwunastu minut siedziała w pizzerii, czekając na Dawida. Umówili się na siódmą, ona przyszła punktualnie, a on wciąż się nie pojawiał. Wyjęła z torebki telefon komórkowy, żeby do niego zadzwonić, ale go odłożyła. Postanowiła poczekać jeszcze trzy minuty - do równego kwadransa.

Tego dnia mijał miesiąc od jej urodzin. Nie licząc pierwszej randki, umówili się dwa razy. Czasami wprawdzie widywali się w szkole na przerwach, kilka razy jedli razem lancz w stołówce. Wszystko to jednak jej nie wystarczało. Odczuwała wyraźny niedosyt kontaktów z chłopakiem, w którym była zakochana.

Rozmyślała nad tym teraz, obracając w dłoniach szklanekę z niegazowaną wodą, którą przed chwilą podała jej kelnerka.

Umawiali się tak rzadko nie z jej powodu ~ to było pewne. Za każdym razem, kiedy David proponował spotkanie, ochocho się zgadzała, nawet jeśli w związku z tym musiała zrezygnować z udziału w przyjęciu z okazji ślubu dziadków. Kiedy natomiast ona wpadała na pomysł, żeby wspólnie pójść na łyżwy czy do kina, tak się akurat składało, że on tego dnia albo miał referat do napisania, albo jakieś inne, wcześniej zaplanowane zajęcia.

Na przykład w zeszły weekend. Jej brat, Steven, już przed kilkoma miesiącami kupił bilety na koncert Bruce'a Springsteena. Dwa dni przed koncertem okazało się, że jego dziewczyna się rozchorowała, a on musi wyjechać na Zachodnie Wybrzeże, zapytał więc Anny, czy nie miałyby ochoty się wybrać. Czy nie miałyby ochoty?! Przecież David był fanem Bruce'a Springsteena! Natychmiast do niego zadzwoniła i przekonana, że będzie zachwycony, podzieliła się radosną wieścią. Okazało się jednak, że w sobotę David musi iść na urodziny wujka.

Teraz, wciąż obracając szklanekę, ze smutkiem przypomniała sobie oburzenie rodziców, kiedy się dowiedzieli, że nie weźmie udziału w uroczystej kolacji u dziadków.

Było jeszcze coś, co budziło niepokój Anny. Wróciła pamięcią do poniedziałku po jej urodzinach i po ich pierwszej randce. Nie padły na niej wprawdzie żadne wyznania ani deklaracje, ale zwiędził ją długi, cudowny pocałunek. Kiedy następnego dnia spotkali się w szkole, na wspomnienie tego pocałunku poczuła, że zalewa ją fala ciepła, a nogi robią się jak z waty.

Nie oczekiwała od Davida, że na szkolnym korytarzu weźmie ją w ramiona, nie spodziewała się również innych objawów czułości, w skrytości ducha liczyła jednak na to, że

jakimś słowem, małym gestem czy w jakikolwiek inny sposób pokaże jej, że pamięta o tym pocałunku. Niczego takiego nie zrobił, a kiedy kilka godzin później siedzieli w stołówce przy lanczu, powiedział zniżonym głosem:

- Myślałem o tym, że może byłoby lepiej, gdyby w szkole nie wiedzieli, że się spotykamy.

Anna, zaskoczona tymi słowami, przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć.

- Wiesz, jak to jest... - rzucił David. - Zaraz zaczną plotkować, a ja nie lubię plotek.

- Ja też nie przepadam za plotkami, ale...

Chciała mu przypomnieć, że nie żyją w średniowieczu i fakt, że chłopak umawia się z dziewczyną, sam w sobie nikogo już tak nie dziwi, żeby stanowić pożywkę dla plotek, uznała jednak, że może rozsądniej byłoby się zgodzić - przynajmniej na jakiś czas - z tym, co proponował. Gdyby zaraz po pierwszej randce zaczęła nalegać, żeby nie kryć się z tym, co ich łączy, David mógłby się wystraszyć narzucanego przez nią tempa, a jej za bardzo na nim zależało, żeby ryzykować. Nie zrobi nic, co mogłoby go do niej zrazić.

- Pewnie masz rację - powiedziała pośpiesznie, przekonana, że i tak wahała się zbyt długo. - Rzeczywiście, tak będzie lepiej.

Teraz pomyślała, że chyba za szybko zaakceptowała zasady gry narzucone przez Davida. Byłoby lepiej, gdyby wtedy, w stołówce, nie dała tak łatwo za wygraną i dociekała, dlaczego tak mu zależy na dyskrecji. Może zgadzanie się na to, żeby to on zawsze wybierał czas i miejsce spotkania, również nie było najmądrzejsze.

Pizzerię, w której teraz siedziała, zaproponował David, chociaż ona nieśmiało - prawdopodobnie zbyt nieśmiało - sugerowała niewielką, skromnie wyglądającą, ale bardzo przytulną restaurację, w której podawano najlepszą pizzę w dzielnicy, pieczoną na ogniu drzewnym. Kiedy mu powiedziała, że jest to prawdziwa włoska pizzeria, domyślił się - zresztą słusznie - że nie serwują tam pizzy po hawajsku ani innych amerykańskich wymysłów, po czym uparł się, żeby pójść do bardzo ostatnio modnej, nowo otwartej Pizza Plus INC.

Anna nie lubiła tego typu lokali. Jeśli już nie było szansy na dobre jedzenie, spodziewała się przynajmniej miłej atmosfery. Niestety, tutaj, w tej wyjątkowo niegustownie urządzonej, dużej restauracji, nie mogła liczyć nawet na to.

A na domiar złego David się spóźnił.

Zjawił się kwadrans po siódmej, w chwili kiedy sięgała po telefon komórkowy.

Zatrzymał się przy drzwiach i zaczął rozglądać po sali. Anna wychyliła się zza imitującego aluminium przepierzenia boksu i pomachała mu ręką. Uśmiechnął się i ruszył w

jej stronę.

W błękitnych dzinsach, bladożółtym bawełnianym swetrze - na tyle obcisłym, że wspaniale podkreślał idealne proporcje jego sylwetki - i wystającym spod niego T - shircie o jasnokoralowej barwie wyglądał świetnie. Strój wydawał się nonszalancki, jakby jego części zostały wybrane zupełnie przypadkowo. Anna zdążyła już jednak poznać Davida na ryle, by wiedzieć, że w sprawach stroju nie pozostawia on nic przypadkowi, ale bardzo się stara sprawiać wrażenie, że wkłada to, co mu się nawinie pod rękę.

Przez głowę przemknęła jej myśl, czy aby dlatego nie przyszedł kwadrans później - zbyt długo się zastanawiał, w co się ubrać.

- Przepraszam cię, że musiałaś na mnie czekać - powiedział.

Uśmiechnęła się. Postanowiła nie okazywać niezadowolenia, przynajmniej do czasu, aż chłopak wytłumaczy swoje spóźnienie.

- Mama pojechała na zakupy i przez pomyłkę wzięła mój klucz. Musiałem czekać, aż wróci, bo nie miałem jak zamknąć domu.

Przez chwilę zastanawiała się, czy to wyjaśnienie brzmi wiarygodnie, ale kiedy David objął ją i pocałował, pozbyła się wątpliwości.

- Nic się nie stało - zapewniła go, gdy usiadł naprzeciwko niej. Policzki miała rozplamione. Czula jeszcze na wargach smak jego ust. - Takie rzeczy się zdarzają. Mnie też przytrafiło się kiedyś coś takiego.

Oczywista bzdura! Nawet gdyby nie miała klucza, bez problemu mogłaby wyjść z domu; wystarczyłoby po prostu zatrzaskać drzwi. Skłamała, ponieważ chciała, by David wiedział, że mu wierzy. Jeśli nam na kimś zależy, dbamy o to, żeby ten ktoś czuł się przy nas komfortowo.

- Ślicznie dzisiaj wyglądasz.

Zawsze, kiedy prawił jej komplement, jego głos nabierał tej niskiej przyjemnej barwy, magii której nie umiała się oprzeć. Tak jak trudno było się oprzeć czarowi nieco zbyt natarczywego spojrzenia, które nieodmiennie towarzyszyło komplementom.

- Dzięki - szepnęła; zdążyła już zapomnieć o tych wszystkich przykrych sprawach, które nie dawały jej spokoju przez ostatni kwadrans.

- Ładnie tu, prawda? - David rozejrzał się po restauracji.

- Tak - zgodziła się z nim bez chwili wahania, chociaż kilka minut wcześniej uznała, że połączenie imitacji aluminium i plastiku we fluorescencyjnych kolorach, które dominowały w dekoracji wnętrza, to beznadziejny pomysł.

- Już coś sobie zamówiłaś? - spytał.

- Tylko wodę - odparła, wskazując pustą szklanę. - Z pizzą wolałam poczekać na ciebie.

Wzięła jedno z menu przyniesionych wcześniej przez kelnerkę, a drugie podsunęła chłopakowi.

- Zaczekaj chwilę - rzucił, odsuwając kartę dań. - Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Jego twarz promieniała radością, Anna domyśliła się zatem, że usłyszy przyjemną wiadomość. Jakiś głos podpowiadał, że będzie ona ważna nie tylko dla niego, ale również dla niej.

Jeszcze przed sekundą myślała o tym, że jak najszybciej musi coś zjeść. Spodziewała się, że w pizzerii wybranej przez Davida jedzenie nie będzie najlepsze, więc licząc na to, że głód sprawi, iż stanie się mniej wybredna, przez cały dzień nic nie jadła.

Rzeczywiście, głód był silny - na tyle, że bez skrzywienia mogłaby zjeść nawet pizzę hawajską, nie na tyle jednak, żeby zabić ciekawość tego, co David miał jej do zakomunikowania. A widać było, że nie może się doczekać, kiedy podzieli się z nią swoją nowiną.

- Opowiadaj - zachęciła go, odkładając menu.

- Lecę do Europy! - zawołał triumfalnie. - Mój kuzyn, jego dziewczyna i kilku ich znajomych zamierzają spędzić tam wakacje i zaproponowali, żebym się do nich przyłączył. Rodzice się zgodzili, więc lecę.

- Fantastycznie. - Anna pomyślała, że intuicja jej nie zawiodła, podpowiadając, że to, co powie David, będzie ważne również dla niej. Chcąc się jak najszybciej dowiedzieć, na ile może mieć to związek z jej planami, spytała: - Dokąd konkretnie?

- Rzym, Wenecja, Florencja, Wiedeń, Amsterdam, Berlin... Wszystkie większe miasta.

Ale nazwa tego, na którym najbardziej jej zależało, nie padła.

- A Paryż? - zapytała z nadzieją.

- Paryż też. Jak Europa, to przecież musi być Paryż.

- No to wygląda na to, że się tam spotkamy - powiedziała, uśmiechając się.

David szeroko otworzył oczy.

- Co? Ty też lecisz do Europy? - spytał zaskoczony.

- Do Paryża.

- Nic mi o tym nie mówiłaś.

- Niemożliwe. Musiałam coś napomknąć. Chłopak zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie. Na pewno bym pamiętała, gdyby była o tym mowa.

Anna zamyśliła się. Zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć. Wyjazd na kurs *monsieur* Maxime'a Lavoisiera był jedną z ważniejszych spraw w jej życiu. Czy istniała taka możliwość, że nie wspomniała o nim chłopakowi, w którym była zakochana?

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej wydawało jej się to prawdopodobne, zważywszy że David lubił mówić wyłącznie o sobie i nieczęsto dawał jej okazję, by podzieliła się z nim czymś, co dotyczyło jej osoby.

To fakt, nie wspomniała mu o swoim wyjeździe, podobnie jak o tym, że od miesiąca, żeby móc się porozumiewać w Paryżu swobodniej, codziennie chodziła do przyjaciółki babci, *madame* Mortier, na dwugodzinne lekcje francuskiego.

Gdyby była wobec siebie szczerą, musiałaby przyznać, że David nie wie o niej właściwie nic. Ale w tej chwili wolała tego nie rozważać, teraz perspektywa spotkania w Paryżu przepełniała ją taką radością, że nie chciała, by cokolwiek ją zmaćło.

- Może rzeczywiście o tym nie wspomniałam - odezwała się ugodowo. - Pewnie nie nadarzyła się okazja.

- Kiedy lecisz? - spytał David.

- Piętnastego lipca.

- Na długo?

- Na prawie półtora miesiąca.

- Będziesz tam z rodzicami? - Nigdy dotąd o nic jej tak nie wypytywał.

- Nie, sama. Będę uczestniczyć w kursie gotowania Maxime'a Lavoisiera. - Domyślając się, że chłopak po raz pierwszy słyszy to nazwisko, dodała szybko: - To francuski kucharz, bardzo słynny. Był szefem kuchni najlepszych restauracji na całym świecie.

Te pochwały dla *monsieur* Maxime'a nie zrobiły na Davidzie żadnego wrażenia.

- Lecisz do Paryża, żeby się uczyć gotować? - spytał. Miał przy tym taką minę, jakby mu obwieściła, że udaje się na Saharę, żeby się uczyć jeździć na nartach.

- Co w tym takiego dziwnego? Stamtąd pochodzą najlepsi kucharze.

- Podobno - odparł tonem, w którym dało się słyszeć lekceważenie. - Tylko potrafię sobie wyobrazić mnóstwo przyjemniejszych rzeczy, które można robić w Paryżu.

~ Na nie też znajdę czas - powiedziała Anna. A na pewno znajdzie czas na to, żeby zobaczyć się tam z ukochanym... Jeśli tylko będzie chciał.

Nie wyobrażała sobie, że będąc w tym samym czasie w Paryżu, mogliby się nie spotkać, nie chciała jednak sama zaczynać rozmowy na ten temat; miała nadzieję, że wyjdzie to od Davida.

Tymczasem on, z miną wyrażającą dezaprobatę, zapytał:

- Po co chcesz się uczyć gotowania?

No tak, o tym, że to jej pasja, również nie wiedział. Nawet na jej przyjęciu urodzinowym fakt, że sama przygotowała wszystkie smakołyki, jakoś umknął jego uwagi.

- Bo to uwielbiam - wyjaśniła, nie wdając się w tłumaczenie, że na kursie *monsieur* Maxime'a nie będzie się uczyć zwykłego gotowania, lecz prawdziwej sztuki.

- Ludzie mają różne hobby - skwitował, wrzuszając ramionami.

- Dla mnie to nie jest tylko hobby - sprostowała.

- Nie?

Widząc, jak nie spodobała mu się wiadomość, że gotowanie jest jej pasją, mogła się spodziewać, jak zareaguje, kiedy mu powie, jakie ma plany na przyszłość. Postanowiła więc nie zdradzać, że zamierza zostać szefem kuchni.

- Nieważne - odparła i chcąc zamknąć ten temat, wzięła menu. - Chyba powinniśmy coś wybrać. Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodna.

Zdecydowała się szybko. W pizzeriach, które nie budziły jej zaufania, zawsze najbezpieczniejsze wydawało jej się zamawianie margharity. Pomidory, ser, ciasto i nic więcej, a im mniej składników, tym mniej można zepsuć.

David właściwie nie musiał otwierać menu - zrobił to odruchowo, bo i tak wiedział, co chce: hawajską z potrójną szynką i kukurydzą.

Fuj, pomyślała Anna. Kukurydza do pizzy!!! Nigdy jeszcze nie była wobec niego tak krytyczna. Ale też nigdy dotąd w jego towarzystwie nie czuła takiego poirytowania i zniecierpliwienia. Nie dość, że nie nawiązał jeszcze do spotkania w Paryżu, to w żaden sposób nie okazał, że fakt, iż istnieje taka perspektywa, w ogóle go cieszy.

W końcu nie wytrzymała i zapytała:

- A kiedy wy wylatujecie?

- Osiemnastego lipca. Wracamy dwudziestego szóstego sierpnia - odparł.

Nie istnieje więc możliwość, że się rozmiemy - to była pierwsza myśl, jaka przyszła Annie do głowy.

- Jak długo będziecie w Paryżu? - dopytywała się da Jej.

- Pewnie kilka dni, trzy, może cztery.

- Nie wiesz, ile czasu spędzicie w poszczególnych miejscach? - zdziwiła się.

- Nie, szczegóły nie są jeszcze dopracowane.

- Lipiec i sierpień to miesiące urlopowe. Myślisz, że będzie łatwo w ostatniej chwili kupować bilety na samolot? - Nie mieściło jej się w głowie, że w taką podróż można się wybierać bez przygotowania i zaplanowania wszystkiego. Ona prawie od miesiąca miała

zarezerwowany bilet i wiedziała, gdzie będzie mieszkać w Paryżu.

- Na razie pewne jest tylko to, że lecimy do Rzymu, a odlatujemy z Berlina. Mamy jeszcze miesiąc na ustalenie pozostałych spraw. W ostateczności będziemy się zastanawiać już tam, na miejscu.

- Hmm... można i tak - rzuciła Anna, wystraszyła się jednak, że David uzna ją za osobę zbyt zasadniczą, która nie pozostawia niczego biegowi wydarzeń. ~ Takie improwizowane wakacje mogą być fajne.

- Też tak uważam.

Pizza Plus INC nie można było odmówić jednego - tempa obsługi. Nie minęło pięć minut od złożenia zamówienia, a kelnerka już stawiała na ich stole gorące pizze - dużą przed chłopakiem, małą przed dziewczyną. W Trattorii Mariosa, do której chciała pójść, na samo upieczenie pizzy na ogniu drzewnym musieliby czekać co najmniej piętnaście minut.

Margarita okazała się całkiem zjadliwa. A może po prostu głód zrobił swoje? Tak czy owak, Anna trochę żałowała, że nie zamówiła średniej.

- Znasz tych ludzi, z którymi jedziesz? - spytała, biorąc do ręki lekko niedopieczony brzeg ciasta, który zostawiła sobie na koniec. - Chodzi mi o przyjaciół twojego kuzyna.

- Nie wszystkich, ale niektórych znam.

Miała nadzieję, że opowie o nich coś więcej, ale się do tego nie palił. Może za bardzo go pochłonęło jedzenie? Kiedy z talerza Anny zniknęły już wszystkie kawałki brzegów, a ona wciąż czuła głód, przemknęło jej przez głowę, że mogłaby pomóc Davidowi w zjedzeniu jego olbrzymiej pizzy, ale widząc kawałki ananasa z puszki i kukurydzę, zrezygnowała z tego pomysłu.

- Ile was będzie? - spytała z nadzieją, że uda jej się jeszcze coś od niego wyciągnąć.

- Gdzie? - odparł, jakby zapomniał, o czym rozmawiali.

- Ile osób leci z tobą do Europy?

- Aaa... - Przełknął kawałek pizzy, po czym zmarszczył czoło, jakby próbował sobie coś przypomnieć albo liczył w pamięci. - Razem ze mną osiem.

Annie nie spodobała się ta liczba. Wolałaby usłyszeć jakąś nieparzystą. Tłumaczyła sobie, że osiem wcale nie musi oznaczać czterech par, mimo to czuła coś niepokojącego. Nie nazywała tego, ale gdzieś w głębi umysłu wiedziała, że jest to zazdrość. No a skoro nie przyznawała się do niej nawet sama przed sobą, tym bardziej nie mogła się przyznać przed Davidem. A pytanie go wprost, ile dziewcząt będzie w tej grupie, mogłoby ją zdemaskować.

Uznawszy, że będzie lepiej, jeśli zada to pytanie, kiedy nadarzy się okazja, nie wracała już do tego, z kim David spędzi wakacje, zwłaszcza że rozpoczął temat, który dominował w

ich rozmowach. Od miesiąca nie mógł się zdecydować na jedną z trzech uczelni, do których miał szansę się dostać. Anna rozumiała, że wybór ten jest niezwykle istotny i choć czasami była już lekko znudzona wysłuchiowaniem tych samych argumentów, nigdy tego nie okazała. Dzisiaj też słuchała uważnie, nie ze wszystkim się zgadzała, ale nawet jeśli udało jej się przedstawić swoje zdanie, w żaden sposób się do tego nie odnosił i mówił dalej tak, jakby rozmawiał sam ze sobą.

Krótko po ósmej wyszli z pizzerii. Nie zapadł jeszcze zmrok, było przyjemnie i ciepło. Anna nie miała ochoty rozstawać się z Davidem; potrafiła sobie wyobrazić mnóstwo rzeczy, które można robić w taki piękny czerwcowy wieczór.

- Może trochę pospacerujemy? - zaproponowała. A widząc jego wahanie, dodała natychmiast: - Jeśli masz jakiś inny pomysł, jestem otwarta.

Była zła na siebie za to, że tak szybko zrezygnowała. Dlaczego to zawsze on miał decydować o tym, jak ma przebiegać ich spotkanie?

Okazało się, że jest jeszcze gorzej, niż myślała. David nie miał bowiem żadnych dalszych planów na ten wieczór, w każdym razie nie takie, w których ona mogłaby wziąć udział.

- Wiesz, powinienem chyba wracać do domu - powiedział, ruszając w stronę przecznicy, na której zaparkował samochód.

- Jest dopiero ósma - zauważyła Anna, nie kryjąc rozczarowania.

- Wiem, ale muszę napisać referat z historii Stanów Zjednoczonych.

- Myślałam, że już dawno jest gotowy. - Kiedy kilka dni temu, rozmawiając z nim na przerwie w szkole, zapytała, czy wieczorem nie wybrałby się z nią na kręgle, wymówił się pod pretekstem, że musi przygotować referat.

- Nie, jeszcze nie skończyłem. To szeroki temat, mnóstwo materiałów - odparł. - A muszę go mieć na poniedziałek.

- Rozumiem. - W ostatniej chwili zrezygnowała z kąśliwej uwagi, że przed poniedziałkiem jest jeszcze cała niedziela.

Szła obok niego w milczeniu.

- Przepraszam. - David zatrzymał się.

Nawet teraz, kiedy była rozczarowana i trochę zła, nie mogła się oprzeć magii jego spojrzenia i niskiego głosu.

- Myślisz, że cieszysz mnie perspektywa spędzenia wieczoru nad historią, zamiast z tobą w jakimś fajnym miejscu? - zapytał.

- Współczuję ci. - Nie była to prawda, ale złość Anny zaczęła się ulatniać.

- Wiem, że ostatnio mam dla ciebie za mało czasu - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Tak się akurat złożyło, że mam dużo zajęć i obowiązków, z których nie mogę się wykręcić. Ale to się zmieni, obiecuję.

Kiedy ją objął, w pierwszej chwili była jeszcze nieco sztywna, ale kilka sekund później wtuliła się w jego ramiona i widząc, że David pochyla się, żeby ją pocałować, leciutko rozchyliła usta.

- Muszę znaleźć więcej czasu dla mojej dziewczyny - szepnął jej do ucha, zanim, przytuleni, ruszyli do samochodu.

Po tym sobotnim, niespodziewanie krótkim spotkaniu Anna wróciła do domu w stanie euforii, i to nie z powodu pocałunku, ani tego w pobliżu pizzerii, ani tego - jeszcze dłuższego i gorętszego - w samochodzie pod jej domem, kiedy się rozstawali.

Pocałunki były cudowne, ale to słowa zrobiły na Annie największe wrażenie, konkretnie dwa - „moja dziewczyna”. Spotykała się z Davidem, nigdy jednak nie powiedział nic, co pozwalałoby jej poczuć się jego' dziewczyną.

Dopiero teraz, kiedy stała w łazience przed lustrem, patrząc na swoją rozpromienioną twarz, zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej tego poczucia - przekonania, że David jest jej chłopakiem.

Było wpół do dziesiątej. W soboty nie kładła się do łóżka o tak wczesnej porze, ale dzisiaj postanowiła położyć się jak najszybciej. Nie chciała, żeby jakiś obejrzany film, czy przeczytany fragment książki, zatarł jej najświeższe wspomnienia. Wołała zasypiać, czując smak ust Davida i rozkoszując się słowami, które z nich spłynęły. Moja dziewczyna...

Leżąc w ciemnościach, raz po raz przywoływała w pamięci tę najważniejszą chwilę, a potem marzyła o wszystkich tych rzeczach, które będą mogli robić wspólnie, o miejscach, w których będą razem, o romantycznym spotkaniu w Paryżu...

Nie zastanawiała się już nad rym, dlaczego David o nim nie napomknął. Teraz powód wydawał jej się prosty. To, że się spotkają w Paryżu, uważał za coś tak oczywistego, że nie musiał nawet o tym mówić.

Stan euforii utrzymywał się przez całą niedzielę i kiedy w poniedziałek szła do szkoły, wciąż rozpiekała ją radość. Na przerwach rozglądała się za Davidem, ale dopiero po trzeciej lekcji udało jej się go wypatrzeć na drugim końcu korytarza, przy sali gimnastycznej. Potrzeba, żeby zobaczyć go z bliska i zamienić z nim choćby kilka słów, była tak silna, że ruszyła w jego stronę.

Uśmiechnęła się, gdy zorientowała się, że ją dostrzegł, i przyśpieszyła kroku. On jednak pomachał jej tylko ręką, po czym zniknął w szatni.

Anna zatrzymała się, uśmiech na jej ustach zamienił się w grymas bólu. Domyśliła się, że na następnej lekcji David ma wuef i powinien się przebrać, ale przecież przerwa dopiero co się zaczęła i nie musiał się tak śpieszyć. Mógł znaleźć chwilę, żeby porozmawiać ze swoją dziewczyną.

Potem zobaczyła go dopiero w stołówce, ale kiedy tam weszła, siedział już z

chłopakami z ostatniej klasy i przy ich stole nie było wolnego miejsca. Zresztą nawet gdyby się jedno znalazło, prawdopodobnie i tak nie zdobyłaby się na odwagę, żeby się dosiąść.

- Anno! - usłyszała wołanie i odwróciła się. Derek machał do niej ręką i pokazywał wolne miejsce.

Kiwnęła głową na znak, że go widzi, po czym poszła do bufetu po jedzenie. Wzięła sałatę z grillowaną pierśią kurczaka - jedyne danie w stołówce, które dawało się zjeść - a do tego sok grejpfrutowy i podeszła do swoich znajomych.

- Coś jest nie tak? - spytała jej przyjaciółka, Diane, kilka minut później.

- Nie. - Anna zdecydowanie pokręciła głową. - Dlaczego miałoby być nie tak?

- Nie odzywasz się, nie śmiejesz.

- Właśnie - rzucił Robin, chłopak Diane.

- Też to zauważyłem - wtrącił się Derek. - Masz jakiś problem?

Jego dziewczyna, Melanie, kiwnęła głową, pokazując w ten sposób, że się z nim zgadza.

- Nie mam żadnych problemów - zapewniła ich Anna.

- No dobrze, nie chcesz mówić, to nie. - Derek wzruszył ramionami.

Zirytowała się.

- Dlaczego próbujesz mi wmówić jakieś problemy? Każdy może mieć takie chwile, kiedy nie ma ochoty rozmawiać. - Jej ton stawał się coraz bardziej agresywny. - Zresztą wy gadacie tyle i tak głośno, że nawet gdybym chciała się odezwać, i tak trudno byłoby mi was przekrzyczeć.

Poczuła na sobie ich spojrzenia i zrobiło jej się strasznie głupio. Diane, Derek, Melanie i Robin byli jej najlepszymi przyjaciółmi i jeśli pytali ją, czy ma problemy, to nie z powodu wrodzonego wścibstwa, lecz dlatego, że naprawdę się o nią troszczyli.

- Przepraszam - powiedziała. - Zachowuję się okropnie.

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Diane.

Wszyscy uśmiechnęli się, chcąc pokazać, że nie mają jej za złe wybuchu. Do końca lanczu rozmawiali, jakby nic się nie stało. Anna kilka razy coś wtrąciła, roześmiała się, gdy pozostali wybuchnęli śmiechem, ale myślami była gdzie indziej.

Kiedy po jedzeniu poszła odnieść tacę i wyrzucić papierowy talerz i kubek, zatrzymała ją Meg McGill. Obie należały do grupy redagującej szkolną gazetkę. Meg zapytała, co myśli o jej artykule na temat tworzenia się w szkole elit, który dała jej w piątek, prosząc o opinię, Anna obiecała, że przeczyta go do poniedziałku. Jutro comiesięczny, ostatni przed wakacjami numer miał zostać zamknięty. Ale w weekend jej głowę zaprzętało coś znacznie

przyjemniejszego niż artykuł koleżanki.

- Hmm... - Wstydziła się tak po prostu przyznać, że kompletnie o nim zapomniała.

- Nie podoba ci się?

- Skąd! - Anna wiedziała, że Meg jest rzeczowa, logiczna, pełna pomysłów, a do tego potrafi pisać. Nie ryzykowała więc, wydając opinię przed przeczytaniem tekstu. - Jest dobry.

- Naprawdę tak sądzisz?

Anna pomyślała, że Meg, która uwielbiała, kiedy ją chwalono, poczuła się niedoceniona.

- Nie, nie sądzę, że jest dobry. Sądzę że jest świetny. Meg rozpromieniła się.

- Nie masz uwag? Sugestii, żeby coś poprawić? - spytała.

- Absolutnie żadnych.

Derek, z którym Anna miała teraz iść na chemię, czekał na nią przy drzwiach stołówki.

Miała dobry pretekst, żeby skończyć tę niezręczną rozmowę, ale w chwili, gdy postanowiła pożegnać się z Meg, zobaczyła, że David i jego znajomi wstają od stołu. W drodze do wyjścia ze stołówki musiał przejść obok niej - nie było innej możliwości. Postanowiła chwilę zaczekać.

- A co myślisz o zakończeniu? - spytała Meg.

- Błyskotliwe.

- Nie uważasz, że jest trochę za ostre?

Co ja robię? - zastanawiała się Anna. Dla chłopaka ryzykuję, że Meg mnie zdemaskuje. Dla swojego chłopaka, poprawiła się. W ten sposób myślała o nim od sobotniego wieczoru i tak jej się to podobało, że mimo dzisiejszych rozterek nie chciała porzucić myśli, że David jest jej chłopakiem.

Był już blisko, nie dalej niż dziesięć metrów, ale pochłonięty rozmową z kolegą, jeszcze jej nie zauważył.

- Zakończenia powinny być ostre - odpowiedziała na pytanie koleżanki.

Spojrzała na Davida w tym samym momencie, kiedy ją zobaczył.

Uśmiechnęła się, udając zaskoczenie, jakby fakt, że niemal na nią wpadł, był czystym przypadkiem.

Wyraz jego twarzy na długo pozostał jej w pamięci. Mając go przed oczami, za wszelką cenę próbowała przekonać siebie, że to, co ujrzała w jego oczach, nie było popłochem. Zaraz potem David się uśmiechnął, nie był to jednak ten dobrze jej znany uśmiech, raczej nieprzyjemny grymas.

- Cześć! - zawołał i wskazując na swoich kolegów, rozłożył bezradnie ręce, jakby chciał powiedzieć: „Chętnie bym się zatrzymał i pogadał, ale muszę lecieć”.

- Cześć! - rzuciła Anna z pozorną beztroską, która wiele ją kosztowała. Żałowała, że została dłużej, narażając się na kolejne rozczarowanie tego dnia.

- Cześć - powiedziała Meg.

Anna zerknęła na nią i z zaskoczeniem stwierdziła, że dziewczyna odprowadza Davida wzrokiem, rozpromieniona. Nie powinno jej to dziwić, David był obiektem westchnień wielu dziewcząt, ale w oczach Meg było coś dziwnie niepokojącego.

Nie były zaprzyjaźnione; jeśli rozmawiały, to wyłącznie na temat szkolnej gazetki. Annę korciło, żeby zapytać ją o znajomość z Davidem. Coś jej mówiło, że znają się nie tylko z widzenia.

Uznała jednak, że najlepiej zrobi, żegnając się z Meg. A nuż będzie chciała zapytać o jakiś szczegół dotyczący artykułu.

- Muszę pędzić - rzuciła. - Kolega na mnie czeka. Cześć.

Derek rzeczywiście wciąż stał przy drzwiach. Właśnie rozłożył ręce, pokazując, że zaczyna się niecierpliwić.

- Zaczekaj chwilkę! - zawołała Meg, biegnąc za koleżanką.

Mam za swoje, pomyślała Anna. Zaraz zada jakieś pytanie i pewnie złapie mnie na tym, że nie przeczytałam artykułu.

Meg zadała pytanie, i owszem, ale nie na temat swojego tekstu.

- Znasz Davida Seagala?

Anna w pierwszym odruchu chciała powiedzieć, że tak, zna go, i to bardzo dobrze, na tyle dobrze, na ile dziewczyna może znać swojego chłopaka. Właśnie, a gdyby tak złamała zasady narzucone przez Davida i przestała ukrywać fakt, że się spotykają?!

Nie miała pojęcia, co by się stało, czuła jednak, że nie powinna tego robić.

- Wszyscy znają Davida Seagala. - Niemal słyszała, jak serce tłucze jej się w piersi, zebrała się jednak w sobie i jej głos brzmiał obojętnie. - Jest dosyć popularny w naszej szkole.

- Wiem. Chodziło mi o to, jak dobrze się znacie. Jakie to dziwne, przed chwilą chciałam zapytać ją o to samo, przemknęło Annie przez głowę. Kolejne myśli kotłowały się gdzieś w świadomości, ale były tak nieprzyjemne i niepokojące, że Anna wypierała je całą siłą woli.

Udała, że nie usłyszała pytania, powiedziała szybko „cześć” i poszła do Dereka.

- A jednak masz jakiś problem - zaczął Derek w drodze do sali chemicznej. Anna szła tak szybko, że z trudem za nią nadążał. - Nie pędź tak, nie było jeszcze pierwszego dzwonka.

Milczała, ale o ile wcześniej, kiedy nie byli sami, zrezygnował z dociekania, co ją gnębi, o tyle teraz nie chciał dać za wygraną.

- To coś w związku z Davidem, prawda?

Nic nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku.

- On mnie coraz bardziej wkurza! - rzucił Derek podniesionym głosem.

To podziałało; Anna zatrzymała się.

- Od samego początku byłeś do niego uprzedzony.

Po dzisiejszych rozczarowaniach stawanie w obronie Davida było ostatnią rzeczą, jakiej by się po sobie spodziewała, a jednak broniła go, mimo wszystko.

- To nieprawda - zaprzeczył Derek stanowczo.

- Oczywiście, że byłeś. Pamiętasz naszą rozmowę w kuchni na moich urodzinach? Przypomnij sobie, co mówiłeś.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie pamiętam dokładnie słów, ale wspomniałem coś chyba o tym, że nie mam do niego zaufania.

- Więc sam widzisz, że byłeś uprzedzony. Bo jak można nie mieć zaufania do kogoś, kogo w ogóle się nie zna?

- Może i tak było - przyznał.

- Ja też na początku nie przepadałam za Melanie, ale kiedy zobaczyłam, jak bardzo ci na niej zależy, postanowiłam dać jej szansę i naprawdę ją polubiłam. Ale ciebie na to nie stać - powiedziała Anna z wyrzutem w głosie i znowu ruszyła przed siebie tak szybko, że Derek prawie za nią biegł.

Musiał się zatrzymać, żeby podnieść zeszyt, który wypadł mu spod pachy. Dogonił przyjaciółkę tuż przed klasą. Nie chciał, by ich rozmowa tak się zakończyła. Żeby temu zapobiec, złapał Annę za ramię, powstrzymując ją przed wejściem do sali.

- To nie jest tak, jak mówisz - powiedział. - Ja też chciałem dać Davidowi szansę, ale różnica między nim a Melanie jest taka, że ona nie kryje się w szkole z tym, że jest moją dziewczyną, i nie przechodzi obok mnie, jakbym był pierwszym lepszym znajomym, tak jak to przed chwilą zrobił ten twój David.

Dziwne, że coś, co nas boli, może boleć ze zdwojoną siłą, kiedy słyszymy to z ust innych. Anna poczuła nieznośny ból, a jednocześnie złość na jego sprawcę.

A sprawcą w tym momencie nie był chłopak, który ją zawiódł, lecz Derek.

- Znamy się od dziecka, jestem twoim przyjacielem i...

Wystraszyła się tego, co jeszcze może jej powiedzieć. Postanowiła mu na to nie pozwolić, więc wpadła mu w słowo.

- To, że jesteś przyjacielem, nie daje ci jeszcze prawa, żebyś się wtrącał we wszystkie moje sprawy.

- I nie wtrącałbym się, gdyby ten... - pod wpływem piorunującego spojrzenia Anny zrezygnował z określenia, jakiego chciał użyć - gdyby on traktował cię inaczej.

Ból i złość narastały w niej coraz bardziej. Nie wiedziała, jak sobie poradzić z bólem, ale ze złością tak - oczywiście pod warunkiem, że dawanie upustu złości można uznać za metodę radzenia sobie z nią.

- Jeśli myślisz, że na tym polega przyjaźń, to się mylisz - powiedziała głosem podniesionym niemal do krzyku. - Jeżeli dalej zamierzasz wchodzić w butach w czyjeś życie - dodała nieco ciszej, ale przez to wcale nie spokojniej - to wiesz co? Poszukaj sobie innej przyjaciółki.

Złość bywa czasami przydatna. Kiedy Anna wyrzuciła ją z siebie i pozostał już tylko ból, po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, jak skuteczna w jego tłumieniu jest złość. Teraz ból był nie do zniesienia.

Dwa dni temu Anna chciała się położyć jak najszybciej, żeby nic nie zatarło wspomnienia kilku cudownych chwil. Tak było w sobotę. W poniedziałek zależała jej na tym samym, ale z zupełnie innego powodu. Chciała czym prędzej znaleźć się w łóżku i natychmiast zasnąć. Pragnęła tego tak, jakby wierzyła, że kiedy obudzi się rano, okaże się, że tego poniedziałku w ogóle nie było i wszystko, co zdarzyło się dzisiaj, tylko jej się przyśniło. Że tak naprawdę David jej nie rozczarował, że nie pokłóciła się z Derekiem i ich trwająca od przedszkola przyjaźń nie stała pod znakiem zapytania, a *madame* Mortier nie załamywała rąk, słuchając, jak jej uczennica przez dwie godziny myli słówka, czasy, przekręca idiomy i ma większe niż zwykle trudności z wymową francuskich głosek.

O dziewiątej Anna leżała już w łóżku, mocno zaciskając powieki, jakby to mogło pomóc jej zasnąć. W salonie obok ojciec słuchał swojego ulubionego Wagnera. Przez chwilę wahała się, czy nie wstać i nie poprosić go, żeby ściszył odtwarzacz, ale wiedziała przecież, co jej odpowie. „Wagnera musi się słuchać głośno”. Zakryła więc uszy poduszką.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, nie była pewna, czy jej się nie wydawało. Pukanie powtórzyło się, tym razem energiczniejsze. Nie odpowiadała, licząc na to, że mama, tata, czy ktokolwiek to był, odejdzie i zostawi ją w spokoju.

To była mama. Uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

- Przepraszam - powiedziała cicho, niepewna, czy budzić córkę. - Nie wiedziałam, że śpisz.

Anna uniosła się na łóżku.

- Myślisz, że ktokolwiek mógłby spać przy tej muzyce? - spytała, wskazując na ścianę łączącą pokój z salonem.

- Dlatego tata nigdy nie słucha Wagnera po dziesiątej.

- Poproś go, żeby ściszył.

. - Dobrze - zgodziła się matka. - Śpij dobrze. - Zamknęła drzwi, ale natychmiast otworzyła je ponownie. - Mam kompletną sklerozę - rzuciła, kręcąc głową. - Przecież przyszłam tu po to, żeby ci powiedzieć, że masz telefon.

Anna wstała z łóżka. Najczęściej dzwonili do niej Diane albo Derek. Od niego, po dzisiejszej ostrej wymianie zdań, raczej nie spodziewała się telefonu, więc to musiała być ona.

- Czy informujesz potencjalnych klientów o stanie swojej głowy? - zwróciła się do

mamy, zanim odebrała od niej słuchawkę. Mimo marnego nastroju nie mogła sobie darować tego złośliwego żartu. - Ja bym chyba nie chciała, żeby w sądzie bronił mnie adwokat ze sklerozą.

Mama odwzajemniła jej się jakimś żartem, Anna jednak go nie słyszała, ponieważ kiedy podniosła słuchawkę do ucha i powiedziała „halo”, po drugiej stronie rozległ się głos Davida.

W ciągu minionego miesiąca miała od niego tylko dwa telefony - raz chciał przesunąć o godzinę spotkanie, a raz je odwołać. Nigdy nie zadzwonił - tak jak Diane czy Derek - tylko po to, żeby pogadać. Anna często o tym myślała, zwłaszcza że wiedziała, ile czasu upływa, na przykład, Derekowi na rozmowach telefonicznych z Melanie.

- Cześć - rzuciła. Jej głos wyraźnie zdradzał zaskoczenie.

- Nie przeszkadzam ci?

- Nie, leżałam już w łóżku, ale jeszcze nie spałam.

- Położyłaś się o tej porze?

- Byłam trochę zmęczona. - Starła się, żeby jej głos brzmiał jak najbardziej neutralnie, przez cały czas zastanawiając się, z czym David dzwoni. W sobotę nie umówili się na następne spotkanie, nie miał więc czego przesunąć ani odwoływać.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Anna słyszała oddech chłopaka, a może jej się tylko wydawało; na pewno jednak słyszała bicie własnego serca.

- Dzwonię, bo dzisiaj w szkole jakoś tak głupio wyszło, nawet nie mieliśmy chwili, żeby ze sobą porozmawiać.

- „Mieliśmy?” - powtórzyła za nim z naciskiem.

Dotychczas zawsze zachowywała się tak, żeby unikać konfliktowych sytuacji. Ile razy sznurowała usta, mając na końcu języka jakąś uwagę, ile razy nie wyraziła niezadowolenia, nie powiedziała o tym, co ją bolało i niepokoiło? A wszystko po to, żeby David nie poczuł się niezręcznie.

Teraz postanowiła zmienić politykę. Czuła jego zakłopotanie i bynajmniej nie zamierzała mu pomagać.

- Ja nie miałem - przyznał. - Przepraszam. Jutro gramy z drużyną z liceum Morrisa. Od tego meczu wszystko zależy.

Cały David, pomyślała Anna. Powiedział „przepraszam”, po czym uznał, że to wystarczy, i jak zawsze zaczął mówić o sobie.

- Kiedy zobaczyliśmy się pod salą gimnastyczną - ciągnął - w szatni już trwało omawianie strategii na jutro. I tak przegapiłem część tego, co mówił trener. Nie mogłem się

spóźnić jeszcze bardziej.

Jego słowa brzmiały dość wiarygodnie. Anna nie była przekonana, czy powinna się zadowolić tym wyjaśnieniem, ale czuła, jak stanowczość powoli słabnie.

- I potem w stołówce - mówił dalej David. - śpieszyliśmy się z chłopakami, żeby obejrzeć fragmenty ostatniego meczu jutrzejszych przeciwników. Trener zdobył to nagranie, żebyśmy lepiej poznali ich taktykę gry.

Anna zdawała sobie sprawę, że w przeddzień najważniejszego w sezonie meczu zawodnicy odkładają na bok wszystkie inne sprawy. Wprawdzie wciąż ją bolało, że to ona została „odłożona na bok”, zaczynała się jednak zastanawiać, czy nie przesadziła dzisiaj w negatywnej ocenie Davida.

- Szukałem cię po lekcjach. Miałem wolne dwie godziny i pomyślałem, że zrobimy coś razem, a potem odwiozę cię do domu i wrócę na szóstą na trening. Ale nigdzie cię nie mogłem znaleźć.

Nigdy tego nie robił, chociaż nie mieszkali od siebie aż tak daleko i nie musiałyby bardzo nadkładać drogi. Kiedyś wspomniała mu, że jeździ z Diane i jej chłopakiem. Nie skorzystał z okazji i nie powiedział, że przynajmniej czasami mógłby ją zabierać. Wtedy uznała, że ma to związek z chęcią utrzymania w tajemnicy faktu, że się spotykają.

A dziś chciał ją zawieźć do domu. Szukał jej. Zależało mu na niej.

Może z tego, że zbyt rzadko jej to okazywał, nic nie wynikało? Może należał do ludzi, którzy wolniej dojrzewają do pewnych decyzji? Znali się przecież dopiero od miesiąca. Może to ona okazała się zbyt niecierpliwa i chciała za dużo od razu?

Przed kilkoma minutami, kiedy usłyszała w słuchawce jego głos, była zdecydowana wyrzucić z siebie wszystkie żale, powiedzieć mu wprost, co jej się nie podoba; teraz z lękiem pomyślała, że w ten sposób mogłaby go stracić.

Była w nim zakochana, może więc warto było powściągnąć niecierpliwość i nie naciskać na niego, domagając się, żeby ich związek zaczął się rozwijać w szybszym tempie?

Gotowanie było dziedziną, w której Anna miała największe doświadczenie, ale w miłości prawie żadne.

Wiedziała, że w kuchni sukces często zależy od cierpliwości.

Może podobnie jest z miłością?

Miesiąc później, lecąc nad Atlantykiem, Anna myślała o tym, że kuchnia chyba nie ma z miłością wiele wspólnego, w każdym razie nie w kwestii cierpliwości. No chyba że w wypadku Davida potrzebna była cierpliwość anielska, a takiej - chociaż go kochała - nie potrafiła z siebie wykrzesać.

Mimo obietnicy złożonej tego dnia, gdy po raz pierwszy nazwał ją swoją dziewczyną, nie udało mu się - a może wcale nie chciał - znaleźć dla niej więcej czasu.

Nie mógł się tłumaczyć, że ma mnóstwo pracy w szkole, ponieważ uczniowie ostatniej klasy przez kilka tygodni przed wakacjami nie pisali już testów ani referatów, nie dostawali zadań domowych, nie musieli się bać, że zostaną wyrwani do odpowiedzi. Jego drużyna przegrała mecz, który odbył się po tamtym pamiętnym poniedziałku, co oznaczało koniec udziału w dalszych rozgrywkach, odpadały więc dodatkowe treningi i narady przed meczami. Mimo to przez cały miesiąc tylko trzy razy znalazł czas, żeby się z nią umówić.

Annę, spragnioną spotkań z Davidem - jego spojrzeń, niskiego głosu - znów dopadały czarne myśli i coraz częściej dochodziła do wniosku, że mu na niej nie zależy. Ale wystarczyło, że się zobaczyli, że powiedział, jak bardzo za nią tęskni, by zapominała o wątpliwościach.. A kiedy ją pocałował, była w siódmym niebie i czuła się tą jedną jedyną.

Siedząc w samolocie i patrząc w dół na bałwany chmur, tworzące najdziwniejsze kształty, wcale nie była w siódmym niebie. I to nie tylko dlatego, że każda minuta lotu oddalała ją o kilka mil od ukochanego.

Ukochany znów ją zawiódł, i to tak, że jadąc na lotnisko, przez całą drogę płakała. Nigdy jeszcze nie rozstawała się z rodzicami na tak długo. Mama i tata, którzy ją odprowadzili, byli przekonani, że właśnie to jest powodem jej smutku. Nie wyprowadzała ich z błędu i nie wyjaśniała, że ostatni wieczór w Nowym Jorku miała spędzić z Davidem.

Tak bardzo chciała zrobić na nim wyjątkowe wrażenie, że zaczęła się szykować kilka godzin przed umówionym spotkaniem. Gdy zadzwonił, była mniej więcej w połowie przygotowań. Kiedy powiedział, że nie może wyjść z domu, ponieważ rodzice wyjechali, a opiekunka, która miała się zająć jego małą siostrzyczką, zachorowała, była w szoku. Musiał wszystko powtórzyć, zanim do niej dotarło, że nie zobaczą się przed jej wylotem do Paryża.

Wcześniej zaplanowali, że pójdą do greckiej restauracji, Ammos Estratrio, z muzyką na żywo. Anna zaproponowała ten przytulny lokalik, w którym podawano najlepszą na świecie mussakę, a dwóch gitarzystów grało muzykę z jej ulubionego filmu *Kapitan Corelli*.

Była to skromna knajpka, ale za kolację trzeba w niej było zapłacić trochę więcej niż w Pizza Plus INC. Żeby mieć pieniądze na ten wieczór, Anna zrezygnowała z kupienia kilku rzeczy, które chciała wziąć do Paryża, i wyraźnie powiedziała Davidowi, że to ona zaprasza.

Zgodził się! Po raz pierwszy się zgodził, żeby spotkać się w miejscu, które zaproponowała.

Teraz, kiedy, próbując nie słyszeć chrapania siedzącego obok mężczyzny, patrzyła z okna samolotu na chmurę przypominającą smoka z rozdziawioną paszczą, pomyślała, że wieczór w Ammos Estratrio, przy romantycznej muzyce, byłby cudowny, ale to była tylko oprawa. Naprawdę chodziło o to, by spędzić go z Davidem, w jakimkolwiek miejscu, przy jakiegokolwiek muzyce, bez muzyki, w zgiełku. Byle z nim.

Nawet z nim i jego małą siostrzyczką.

Gdyby tylko powiedział: „Ja nie mam jak wyjść z domu, ale może ty mogłabyś wpaść do mnie?”.

Byłaby u niego w pół godziny.

W jakie pół godziny?!

Kwadrans później stałaby na progu jego domu.

Boże, jak można tak chrapać?

Samolot przelatywał nad chmurą przypominającą kształtem konika morskiego, ale Anna nie mogła skupić wzroku na jej dziwacznym kształcie, ponieważ sąsiad na siedzeniu obok nie dość, że chrapał coraz głośniejsze, to jeszcze zawłaszczzył sobie łokciem prawie połowę jej miejsca.

Anna nałożyła słuchawki i włączyła ekranik umieszczony z tyłu oparcia znajdującego się przed nią fotela. Nacisnęła jeden z kilku przycisków i na ekranie wyświetliła się mapa ukazująca Amerykę Północną, Europę, dzielący je Atlantyk oraz punkcik, wolno zbliżający się do wybrzeży Portugalii.

Spojrzała na zegarek. Jeśli samolot nie będzie miał spóźnienia, wyląduje za niecałe dwie godziny. Przykre wspomnienie wczorajszego wieczoru wciąż mąciło jej spokój, ale coraz mocniej wypierała je ekscytacja i myśl, że czeka na nią Paryż - najpiękniejsze miasto świata.

Zajmując miejsce przy oknie, nie mogła widzieć przejścia, od którego oddzielały ją dwa siedzenia, poczuła jednak zapach kawy, pieczywa i usłyszała odgłosy świadczące o tym, że stewardesy przygotowują śniadanie.

Światło w samolocie było jeszcze przygaszone, prawie wszyscy spali, uznała więc, że postąpi rozsądnie, jeśli pójdzie do toalety teraz - zanim rozpocznie się exodus pasażerów. No

i choć na chwilę ucieknie w ten sposób od chrapania, któremu zaczęło towarzyszyć gwizdanie, świstanie, chrupkanie i inne równie niemiłe dla ucha dźwięki.

Sąsiad na chwilę otworzył oczy, kiedy, starając się go nie budzić, przeciskała się do przejścia, ale zanim zdążył je zamknąć, znów chrapał.

Kiedy doszła do toalet, okazało się, że nie ona jedna chciała zdążyć, zanim inni pasażerowie się obudzą.

Wszystkie były zajęte i kilka osób stało w kolejce. Dwie starsze panie - Amerykanki, które poważnie potraktowały informację o groźbie zakrzepów w czasie długich lotów - czekając, uprawiały jogging w miejscu; dwójka amerykańskich dzieci kłóciła się między sobą o to, które pierwsze wejdzie do toalety; a jakiś staruszek, Francuz, najwyraźniej spragniony rozmowy, zagadnął stojącego obok niego chłopaka, również Francuza.

Przysłuchując się im, Anna z radością stwierdziła, że rozumie prawie wszystko. Kiedy przedwczoraj, na ostatniej lekcji, *madame* Mortier pochwaliła ją i powiedziała, że w ciągu dwóch miesięcy w jej francuskim nastąpił niesłychany postęp, Anna miała wątpliwości i uważała, że starsza pani chce jej tylko dodać otuchy; a teraz sama mogła się przekonać, że nie były to czcze pochwały.

Rozumiała, co mówią, ale ile jeszcze brakowało, żeby mogła posługiwać się tym językiem z taką swobodą jak oni, tak jak oni wymawiać charakterystyczne dla francuskiego głoski?

Młody Francuz w pewnej chwili odwrócił się i napotkał spojrzenie Anny. Musiał wyczuć, że im się przysłuchuje. Poczła się złapana na gorącym uczynku. Nie wiedziała, gdzie uciec spojrzeniem, ale chłopak uśmiechnął się tak, że po jej zakłopotaniu nie zostało ani śladu. Odpowiedziała mu podobnym uśmiechem - takim, jakim obdarzają się ludzie, którzy wiedzą, że już nigdy w życiu się nie spotkają.

Przemknęło jej przez głowę, że takie uśmiechy są najlepsze, najszczerze, najbardziej bezinteresowne i że świat byłby o wiele piękniejszy, gdyby ludzie uśmiechali się do siebie właśnie w ten sposób.

Chłopak stał w kolejce za staruszką, z którym rozmawiał, ale kiedy zwolniła się jedna z toalet, powiedział mu, że poczeka. Wkrótce zwolniły się dwie jednocześnie. Do jednej weszła Anna, do drugiej on. Kiedy kilka minut później ją opuszczała, rozejrzała się, ale nigdzie nie widziała niewysokiego chłopca o szczupłej twarzy, brązowych oczach i ciemnych, lekko kręconych włosach.

Barbara Duvernet w czasie studiów przyjaźniła się z mamą Anny. Wyszła za mąż za Francuza i przed dwudziestu laty zamieszkała w Paryżu. Mimo odległości przyjaźń nie wygasła. Barbara często przylatywała do Nowego Jorku i za każdym razem odwiedzała mamę Anny i jej rodzinę. Została nawet matką chrzestną najstarszego brata Anny, Stevena.

Kiedy dowiedziała się, że córka przyjaciółki przylatuje do Paryża, nawet nie chciała słyszeć, że dziewczyna będzie mieszkać w kwaterze, którą można było zarezerwować razem z kursem, i zaproponowała jej gościnę.

Anna lubiła Barbarę - bardzo europejską, elegancką, zawsze pięknie pachnącą - i jej niepozornego, ale niezwykle zabawnego męża, Claude'a, więc chętnie się zgodziła.

Po raz pierwszy sama leciała samolotem, po raz pierwszy również sama znalazła się za granicą, i to nie w Meksyku czy na Karaibach, gdzie często spędzała wakacje z rodzicami, lecz za Atlantykiem. Nic więc dziwnego, że zanim zobaczyła czekających na nią Barbarę i Claude'a, czuła się zagubiona.

- Jesteś zmęczona? - spytała Barbara, kiedy jej mąż wsadzał do bagażnika walizkę i plecak ich gości.

- Skąd, jestem w świetnej formie - odparła Anna. Mimo ośmiogodzinnego nocnego lotu czuła się świeża i wypoczęta.

- Głodna? - dopytywała się Barbara.

- Nie, jadłam śniadanie w samolocie.

- Pytam, ponieważ się zastanawiam, czy chcesz od razu jechać do domu, czy wolałabyś po drodze zobaczyć trochę miasta.

Anna przyznała się, że nie może się doczekać, kiedy zobaczy Paryż.

- Świetnie - powiedział Claude po angielsku. Mówił poprawnie, tyle że z francuskim akcentem, który wydawał się Annie niezwykle czarujący. - Zrobimy sobie zatem małą wycieczkę.

Podeksytowana dziewczyna z niecierpliwością czekała, aż zjadą z autostrady łączącej lotnisko Charles'a de Gaulle'a z miastem, a kiedy wreszcie znaleźli się w jego murach, w ponurej dzielnicy o brzydkiej, nowoczesnej architekturze, poczuła się zawiedziona.

- To jeszcze nie jest Paryż - wyjaśniła Barbara, jakby się domyśliła, że córka przyjaciółki jest rozczarowana. - Prawdziwy Paryż to stary Paryż, a tam będziemy dopiero za chwilę.

Niecały kwadrans później wcale nie musiała informować Anny, że znaleźli się w jego granicach. Dochodziła dziewiąta rano, panował nieprawdopodobny ruch i siedzący za kierownicą Claude musiał się porządnie namęczyć, żeby samochód posuwał się naprzód w zatłoczonych ulicach. Annie jednak wcale to nie przeszkadzało.

Rozglądając się z zachwytem, z każdą sekundą coraz bardziej rozumiała, co takiego jest w tym mieście, że przyciąga ludzi z całego świata, że zakochują się w nim na zawsze i marzą, by do niego wracać.

Ona zakochała się w Paryżu od pierwszego wejrzenia.

Oszołomiona, przesiadała się na tylnym siedzeniu citroena, żeby wyrzeć to przez prawe, to przez lewe okno. Dzień zapowiadał się upalnie, ale na razie powietrze było na tyle rześkie, że Claude wyłączył klimatyzację i opuścił szyby.

- Paryż trzeba nie tylko widzieć, ale jeszcze słyszeć i czuć - powiedział, odwracając się do Anny.

Domyśliła się, co ma na myśli. W godzinach szczytu w kilku milionowym mieście nie sposób uniknąć zapachu spalin i szumu samochodów - także w Paryżu. Ale gdzieś obok tych przykrych oznak cywilizacji - a może ponad nimi - unoszą się inne zapachy i dźwięki, i to właśnie one, wraz ze wspaniałą architekturą, ludźmi, którzy żyją i poruszają się tu w całkiem innym tempie niż, na przykład, w Nowym Jorku, nadają miastu niepowtarzalną atmosferę.

- A jednak jesteś głodna - powiedziała Barbara. Zobaczyła, że Anna, wykorzystując chwilę, kiedy samochód zatrzymał się na światłach, wystawia głowę przez okno i rozkoszuje się zapachem croissantów, dochodzącym z pobliskiej *boulangerie*.

- Nie, naprawdę - odparła Anna. - Ale pachnie tak cudownie, że nie byłam w stanie się oprzeć.

- Możemy się zatrzymać i wstąpić gdzieś na *cafe au lait* i croissanty - zaproponował Claude.

Z *boulangerie* właśnie wychodziła dziewczyna z bagietką pod pachą. Kiedy otwierała drzwi, w powietrzu rozniósł się jeszcze bardziej intensywny zapach. Propozycja Claude'a była kusząca, ale Annie trochę szkoda było czasu na zatrzymywanie się.

- Rue de Rivoli - powiedziała Barbara, kiedy z wąskiej uliczki wjechali w *szerszą i* bardziej okazałą. - Poznajesz? - spytała, widząc, że Anna z ciekawością przygląda się zabytkowemu, dostojnemu budynkowi, obok którego przejeżdżali.

Nie można go było pomylić z żadnym innym.

- To Luwr! - zawołała dziewczyna, podniecona.

- Brawo - pochwaliła ją Barbara.

Choć Anna wiedziała, że przyjaciółka mamy nie miała złych intencji, poczuła się lekko urażona posądzeniem, że mogłaby nie rozpoznać najbardziej znanej budowli stolicy Francji.

Kiedy przejeżdżali obok słynnej szklanej piramidy, która wzbudziła w Paryżu tyle kontrowersji, wykorzystwała okazję, by udowodnić, że nie jest ignorantką.

- O, Dziedziniec Napoleona! - rzuciła, po czym dodała po francusku: - *Cour Napoléon*.

Barbara spojrzała na nią z podziwem.

- Świetnie się orientujesz. - Claude zerknął na Annę przez ramię. - To miłe, że są również inni Amerykanie, a nie tylko tacy, którzy przyjeżdżają do Paryża, stają na Place de la Bastille i pytają, gdzie jest Bastylia.

Dziewczyna roześmiała się.

- To żart, prawda?

Barbara odwróciła się i pokręciła głową.

- Niestety, nie. Mam przyjaciółkę, która oprowadza amerykańskie wycieczki, i wiem od niej, że takie sytuacje zdarzają się bardzo często.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- A jednak to prawda - powiedziała Barbara. - Rue du Faubourg St. Honoré... - wyszeptwała z nabożną czcią, kiedy stanęli na skrzyżowaniu.

Claude, który przed chwilą włączył migacz, sygnalizując, że zamierza skręcić w prawo, pokręcił głową i wyłączył go.

- Chciałeś pojechać w prawo - zauważyła jego żona.

- Ale się rozmyśliłem.

- Dlaczego?

- Bo nie znoszę tej ulicy. Jeślibym został merem Paryża, kazałbym ją wyburzyć. Tak, to wspaniały pomysł! - zawołał. - Gdyby kandydat na mera zapowiedział, że po wygraniu wyborów zmaże rue du Faubourg St. Honoré z mapy miasta, głosowałiby na niego wszyscy mieszkańcy płci męskiej.

- Tylko ci pozbawieni smaku - skwitowała Barbara. - Błagam cię, *chérie*, skreć w prawo.

Powiedziała to głosem tak słodkim, że mąż nie miał wyjścia i musiał spełnić jej prośbę.

- Co jest nie tak z tą ulicą? - zainteresowała się Anna.

- Co?! Zaraz sama zobaczysz - odparł Claude. Sprawił wrażenie bardzo

przygnębionego, ale jego żona odwróciła się, uśmiechnęła i puściła oko do córki przyjaciółki.

- Proszę! - powiedział, pokazując sklep z wytwornymi markizami.

Anna spojrzała na szyld.

- Lanvin Femme - przeczytała.

- No właśnie! - rzucił, bezradnie rozkładając dłonie.

- Nie puszczaj kierownicy - upomniała go żona, po czym odwróciła się i znów puściła oko do Anny.

Dziewczyna czytała tymczasem napisy z nazwami kolejnych sklepów.

- Hermes... Guy Laroche... Jean Paul Gaultier Boutique...

- Otóż to! - Głos Claude'a był coraz bardziej zrezygnowany, podczas gdy jego żona wydawała się wniebowzięta.

Anna, widząc wyraz jej twarzy, pomyślała o kocie, którego wraz z setką myszy zamknięto w pomieszczeniu bez żadnego wyjścia.

- Cudowna ulica, prawda? - powiedziała Barbara.

- Cudowna - mruknął Claude. - Jak dla kogo... Na pewno nie dla tych biednych mężczyzn, którzy przez nią poszli z torbami.

- Przesadzasz, kochanie.

- Christian Dior - czytała dalej Anna, przyglądając się wystawom. - Gianni Versace... Sonia Rykiel. Wszyscy znani projektanci mody.

- Przyjdziemy tu kiedyś, dobrze? - Barbara zwróciła się do Anny.

- Chętnie - zgodziła się dziewczyna.

- Czuję, że tak będzie, jeszcze zanim wjechałem w tę przeklętą rue du Faubourg St. Honoré - powiedział Claude.

- Przyjdziemy tylko pooglądać wystawy - zastrzegła się jego żona.

- Już ja wiem, jak się kończy takie oglądanie. Claude utyskiwał, ale robił to w zabawny sposób, a poza tym widać było, że upodobanie Barbary do *haute Couture* wcale mu tak bardzo nie przeszkadza.

Byli przesympatyczną parą i Anna czuła się w ich towarzystwie wspaniale.

- Wreszcie jakieś przyjemniejsze widoki - powiedział kilka minut później, kiedy jechali wzdłuż Sekwany.

Zanim późnym popołudniem dotarli do mieszkania na Montparnassie, przespacerowali się po Polach Elizejskich, gdzie w jednej z kawiarni ze stolikami ustawionymi tak, by goście mogli obserwować ulicę, zjedli lancz. Anna zobaczyła Łuk Triumfalny, Place d' Etoile, katedrę Notre Dama, Ile de la Cité, Pałac Inwalidów, gmach Opery, Ogrody Tuilleries, wieżę

Eiffela - niemal wszystkie te ważne miejsca i zabytki, które turyści chcą zobaczyć w Paryżu natychmiast po przyjeździe.

Ominęli tylko Montmartre, ale tam Duvernetowie postanowili zabrać swojego gościa na kolację.

W przestronnym mieszkaniu Anna miała do dyspozycji duży, ładnie urządzone pokój i małą łazienkę.

Zdażyła się rozpakować, wziąć długą kąpiel, zadzwonić do rodziców, by poinformować ich, że dojechała szczęśliwie, i już była ósma.

Noc spędzona w samolocie i pierwsze pobieżne zwiedzanie Paryża dawały o sobie znać. Kiedy Anna popatrzyła na wygodne łóżko, przemknęło jej przez głowę, że chętnie poszłaby spać, ale wystarczyło, że spojrzała przez okno, by porzucić tę myśl. Montmartre kusił ją bardziej niż łóżko.

Położyła się krótko przed północą. Dwie minuty później już spała. Kiedy zasypiała, uświadomiła sobie, że od chwili, gdy wylądowała w Paryżu, aż do teraz, ani razu nie pomyślała o Davidzie.

Czy to mogło coś oznaczać?

Nawet jeśli tak, to była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać.

W budynku przy Boulevard Malesherbes, w pobliżu Place de la Madeleine, w wielkim pomieszczeniu, służącym kiedyś za kuchnię restauracji, pełnym przeróżnych sprzętów - od najbardziej podstawowych po takie, których przeznaczenia Anna nie była nawet w stanie się domyślić - jedenaście osób w napięciu czekało na pojawienie się mistrza. Było wśród nich dwóch Japończyków, para w średnim wieku, rozmawiająca ze sobą w jakimś słowiańskim języku - Anna przypuszczała, że po rosyjsku, ale nie była tego pewna - starsze małżeństwo Anglików, trzech młodych Włochów i dziewczyna o skandynawskiej urodzie.

Kiedy na korytarzu rozległy się kroki, wszyscy zamilkli i utkwili wzrok w drzwiach.

Po chwili rozległo się westchnienie wyrażające rozczarowanie, ponieważ osoba, która stanęła w progu, w żaden sposób nie mogła być oczekiwanym mistrzem. Przede wszystkim wydawała się stanowczo za młoda. Był to siedemnasto -, może osiemnastoletni chłopak. Jedyne, co z pewnością łączyło go z *monsieur* Maximem, to fakt, że obaj byli Francuzami.

Anna wiedziała to, zanim jeszcze chłopak się odezwał i powiedział:

- Dzień dobry. - Rozejrzał się po twarzach obecnych i dodał: - Obawiałem się, że będę spóźniony, ale widzę, że jeszcze się nie rozpoczęło.

Rozpoznała go od razu. To był ten sam chłopak, który, czekając w samolocie w kolejce do toalety, gawędził ze staruszką. Pamiętała jeszcze jego miły uśmiech i to, że pomyślała, że w ten sposób uśmiechają się do siebie ludzie, którzy wiedzą, że już nigdy się nie spotkają. Ale w życiu, jak widać, niczego nie można być pewnym.

Wszyscy kursanci siedzieli na wysokich stołkach ustawionych przy długim marmurowym blacie, zajmującym centralne miejsce w pomieszczeniu. Dwa były jeszcze wolne, jeden u szczytu blatu, a drugi naprzeciwko Anny. Szybko oceniwszy sytuację, chłopak domyślił się, że ten u szczytu jest przeznaczony dla *monsieur* Maxime'a, i ruszył do drugiego.

Anna, patrząc, jak idzie w jej stronę, zastanawiała się, czy ją rozpozna. Specjalnie na to nie liczyła. Przysłuchując się w samolocie jemu i staruszkowi, obserwowała go przez kilka minut, ale on widział ją zaledwie przez chwilę.

Chyba jednak ją poznał. Usiadłszy naprzeciwko niej, zrobił zdziwioną minę, po czym się uśmiechnął. Otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ właśnie w tym momencie do kuchni wkroczył wielki Maxime Lavoisier.

Anna jeszcze w Nowym Jorku widziała kilka zdjęć, które przedstawiały go jako młodego, atrakcyjnego mężczyznę. Znajac historię jego długiej kariery, domyślała się, że

musi już mieć swoje lata, a fotografie nie są najświeższe, nie przyszło jej jednak do głowy, że zostały wykonane jakieś pół wieku temu.

Monsieur Lavoisier miał co najmniej osiemdziesiąt lat, włosy i bujne wąsy zupełnie białe, a do tego nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu.

Zerkając na pozostałych kursantów, Anna domyśliła się, że widok mistrza zaskoczył ich nie mniej niż ją. Wystarczyło jednak, że usiadł na swoim miejscu u szczytu blatu i spojrzał na obecnych swoimi przenikliwymi, zaskakująco młodymi oczami, by wydał się wielki.

- *Bonjour* - powiedział dźwięcznym, energicznym głosem, po czym popatrzył na japończyka, siedzącego najbliżej niego, po prawej. - *Monsieur* Hayami. - A kiedy ten, w typowy dla Azjatów sposób, głęboko skłonił głowę, mistrz uśmiechnął się i spojrzał na jego towarzysza. - *Monsieur* Kamashi.

Maxime Lavoisier wolno przebiegał wzrokiem wzdłuż blatu, zatrzymując się na każdym kursancie i wymieniając jego imię:

- *Madame* Natasha... *Monsieur* Siergiej... *Mademoiselle* Astrid... *Monsieur* Julien...

Monsieur Julien zainteresował Annę najbardziej - teraz już wiedziała, jak jej znajomy z samolotu ma na imię.

Podczas gdy mistrz witał pozostałych uczestników kursu, zastanawiała się, skąd zna ich imiona. Doszła do wniosku, że musieli się już kiedyś spotkać. Jako ta jedyna osoba, której nie znał, poczuła się trochę niepewnie i omal nie spadła ze stołka, kiedy, patrząc na nią, powiedział:

- *Mademoiselle* Anna...

Uśmiechnęła się do niego i z wdzięczności, że zna jej imię, skłoniła głowę jeszcze niżej niż dwaj Japończycy.

Skąd znał ich imiona? - zastanawiała się gorączkowo. Musiał mieć listę uczestników kursu, ale to jeszcze nie wyjaśniało, w jaki sposób się dowiedział, jak je przypasować do poszczególnych osób. W wypadku Japończyków wydawało się to dość proste, ale co z pozostałymi? Owszem, Astrid to szwedzkie imię, a w tym pomieszczeniu znajdowała się tylko jedna osoba o typowej skandynawskiej urodzie. Anna spojrzała na dwoje Rosjan i dostrzegła w ich rysach twarzy wyraźne słowiańskie cechy, zatem tu też można było odgadnąć. Ale co z trzema Włochami, Paulem, Giovannim i Robertem? Skąd wiedział, które imię przypisać każdemu z nich? Ich miny wskazywały, że się nie pomylił, podobnie jak z Japończykami.

Znalazła tylko jedno wyjaśnienie - *monsieur* Maxime Lavoisier, jako człowiek

niezwykły, posiadał szósty zmysł.

A że był człowiekiem niezwykłym, o tym wkrótce wszyscy mieli się przekonać.

Był nie tylko mistrzem *haute cuisine*, ale i mistrzem opowieści. Zgodnie z informacjami zawartymi w folderze reklamującym kurs, podczas tego pierwszego - krótszego niż pozostałe - spotkania nie były przewidziane żadne zajęcia praktyczne. Dziś uczestnicy mieli się poznać i wysłuchać opowieści mistrza.

Anna, spragniona wiedzy rzeczywistej - nie tej teoretycznej, którą mogła poznać z książek kulinarnych - uważała, że to strata czasu, ale kiedy zaczęła słuchać przetykanej barwnymi anegdotami, błyskotliwej opowieści mistrza o historii francuskiej kuchni i jego własnych doświadczeniach, zrozumiała, że tego nie mogłaby się dowiedzieć z żadnych książek.

Wydawało się, że *monsieur* Maxime jest pochłonięty swoją opowieścią tak, że nie zauważa nic dookoła, a jednak w pewnym momencie, pod sam koniec spotkania, kiedy mówił o tym, że sztuka kulinarna jest taką samą sztuką jak muzyka czy malarstwo i różni się od tamtych wyłącznie tym, że porusza inny zmysł, spojrział na chłopca siedzącego naprzeciwko Anny.

- *Monsieur* Julien, chciał pan coś powiedzieć, prawda?

Chłopak był wyraźnie zaskoczony, ale nie zaprzeczył.

- Słucham, *mon chevalier* - zachęcił go mistrz.

Anna uśmiechnęła się. Podobał jej się ten staroświecki sposób wyrażania się. Tylko w filmach słyszała, żeby ktoś się w ten sposób zwracał do młodego mężczyzny.

Julien był nieco zakłopotany, ale zaczął mówić:

- Stwierdził pan, że gotowanie jest taką samą sztuką jak muzyka czy rzeźba.

Monsieur Maxime skinął głową.

- Gotuje się według przepisów, prawda? - ciągnął Julien. - Ale jakoś nigdy nie słyszałem, żeby były przepisy na skomponowanie symfonii czy namalowanie obrazu. Gdzie tu miejsce na twórczą fantazję?

Prawie wszyscy uczestnicy popatrzyli na chłopaka z oburzeniem, jakby chcieli go zapytać: „To co tu w takim razie robisz, skoro podważasz słowa mistrza i wyrażasz te bluźniercze myśli?”.

I tak był speszony, ale teraz, pod obstrzałem spojrzeń, widać było, że ma ochotę zapaść się pod ziemię.

Annie zrobiło się go żal. Poza tym uważała, że w jego słowach był jakiś sens, uśmiechnęła się więc do niego, próbując dodać mu odwagi. Nie była jednak pewna, czy to

dostrzegł, ponieważ w tym samym momencie z pomocą przyszedł mu Maxime Lavoisier.

- Bardzo słuszna uwaga, *mon chevalier*. I cieszę się, że poruszył pan ten temat. Czy pan wie, kto to był Picasso?

- Oczywiście, że tak - odparł chłopak, zdziwiony tym pytaniem. - To znaczy... znam biografię, widziałem obrazy.

- Świetnie. Widział pan wszystkie obrazy? Również te wczesne?

Julien nie miał pojęcia, do czego mistrz zmierza, ale odpowiedział:

- Na pewno nie wszystkie, ale niektóre tak.

- Zgodzi się pan zatem ze mną, że obrazy, które Picasso malował we wczesnej młodości, są akademickie, szablonowe, jakby tworzone według... - *Monsieur* Maxime zawiesił głos i popatrzył na Julienu.

- Według przepisów - skończył za niego chłopak.

- Otóż to! - rzucił mistrz z satysfakcją. - Zanim artysta będzie sobie mógł pozwolić na swobodę i twórczą fantazję, musi się nauczyć solidnych podstaw. Bez tych podstaw nie ma prawdziwej sztuki. I właśnie to będziemy robić w ciągu najbliższych tygodni. Uczyć się solidnych podstaw.

Monsieur Maxime, z rozpromienioną twarzą, wyglądający teraz co najmniej dziesięć lat młodziej niż w chwili, gdy wkroczył do tego pomieszczenia, popatrzył na swoich uczniów, na sekundę zatrzymując na każdym wzrok.

- Zaczynamy od sosów - oznajmił. - Już jutro.

Anna szła Boulevard Malesherbes, kiedy usłyszała, że ktoś za nią biegnie. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Julienem.

- Tak szybko wyszłaś, że musiałem cię gonić - powiedział. Był lekko zdyszany, ale mówił po angielsku bez cienia francuskiego akcentu. - A zależało mi na tym, żeby ci podziękować.

Przyjrzała mu się uważnie, jakby się chciała upewnić, że to na pewno ten sam chłopiec, którego wczoraj spotkała w samolocie, a który dzisiaj siedział naprzeciwko niej.

- Dlaczego tak mi się dziwnie przypatrujesz? - spytał.

- Bo zastanawiam się, kim jesteś.

- Jak to, kim? Chłopakiem, z którym wczoraj leciałaś do Paryża, a przez najbliższe tygodnie będziesz chodziła na kurs gotowania.

Wciąż w jego angielskim nie mogła się doszukać ani śladu obcojęzycznych naleciałości.

- To akurat wiem - powiedziała i oboje ruszyli w stronę Place de la Madeleine. - Nie wiem tylko, czy jesteś Francuzem, czy Amerykaninem.

Julien roześmiał się.

- Jestem i Francuzem, i Amerykaninem - odparł, ale widząc, że Annie to nie wystarcza, wyjaśnił: - Urodziłem się w Paryżu. Kiedy skończyłem pięć lat, razem z rodzicami wyemigrowałem do Stanów Zjednoczonych. Od dwunastu lat mieszkam w Nowym Jorku, tam mam przyjaciół, tam chodzę do szkoły, ale wakacje spędzam co roku u rodziny w Paryżu. Sam więc już nie wiem, czy jestem bardziej Amerykaninem, czy Francuzem. Zresztą, powiem ci szczerze, ta wiedza do niczego nie jest mi potrzebna.

- Rozumiem.

Doszli do Place de la Madeleine. Anna zamierzała iść w stronę stacji metra, ale właściwie nigdzie jej się nie śpieszyło, więc się zatrzymała.

- Za co chciałeś mi podziękować? - spytała.

- Jak to za co? Poza *monsieur* Maximem byłaś jedyną osobą, która nie chciała zamordować mnie wzrokiem po tej mojej idiotycznej uwadze o przepisach kulinarnych.

- Ta uwaga wcale nie była idiotyczna.

- W którą stronę idziesz? - spytał Julien.

- Chciałam iść do metra.

Anna nie zastanawiała się jeszcze, co zrobić z resztą dnia. Duvernetowie nie mogli się już dzisiaj nią zająć. Oboje musieli iść do pracy, do domu mieli wrócić dopiero wieczorem, ale zostawili jej klucze, pełną lodówkę, na wypadek gdyby zgłodniała, zaopatrzyli w mapę, tygodniowy bilet na wszystkie środki komunikacji miejskiej i udzielili mnóstwo rad, dokąd mogłaby pójść, co warto zwiedzić, gdzie jeść, jakich miejsc unikać.

- Masz jakieś plany? Spiesz ci się gdzieś?

- Zamierzałam pochodzić po Paryżu.

- Możemy to zrobić razem - zaproponował Julien. Anna szczerze się ucieszyła. Wiedziała, że trudno byłoby jej znaleźć lepszego przewodnika niż on, a w dodatku równie sympatycznego.

- Chętnie, oczywiście jeśli nie masz nic lepszego do roboty, niż chodzić ze mną po mieście.

- Tak się składa, że nie mam.

- To świetnie.

- Jest jakieś miejsce, na którym ci szczególnie zależy? - spytał Julien.

- Myślałam o Dzielnicy Łacińskiej, ale ty jesteś przecież przynajmniej w połowie paryżaninem, więc znasz pewnie mnóstwo innych ciekawych miejsc, niekoniecznie takich, do których trafiają turyści.

- Jasne, że znam, ale czemu nie? Możemy zacząć od Dzielnicy Łacińskiej. - Chłopak na chwilę przerwał i zmarszczył czoło. - Hmm... Zastanawiam się, jak tam najlepiej dotrzeć. Możemy pojechać metrem, ale możemy też się przejść. - Zerknął na stopy Anny. - Masz wygodne buty?

Kiwnęła głową. Wychodząc rano z domu, nastawiła się na dłuższe wędrówki, włożyła więc tenisówki.

- No to idziemy - zarządził Julien i ruszyli. Z Place de la Madeleine skręcili w rue Royale, w kierunku Place de la Concorde.

- Jesteś pierwszy raz w Paryżu? - spytał.

- Tak.

- Nie bój się, nie zadam ci tego głupiego pytania: czy Paryż ci się podoba.

- Spokojnie możesz je zadawać. Jestem zakochana w tym mieście.

- Przecież jesteś tu dopiero od wczoraj - zauważył Julien.

- Jeden dzień wystarczył - rzuciła Anna, uśmiechając się.

Opowiedziała mu o Duvernetach, o tym, że się u nich zatrzymała i że wczoraj oboje poświęcili cały dzień na to, żeby pokazać jej tyle, ile się tylko dało.

- Myślę, że to musiało być dla nich strasznie nudne - dodała. - Chociaż w żaden sposób mi tego nie okazali. Wiem, że mają często gości ze Stanów Zjednoczonych i obwożą ich po mieście. Za pierwszym, drugim razem to może być zabawne, ale w końcu musi się znudzić.

- Niekoniecznie. To przyjemne, pokazywać ludziom miejsca, które się lubi.

- No to mam nadzieję, że nie znudzi cię chodzenie ze mną po Paryżu.

Nic nie wskazywało na to, że któreś z nich zacznie się nudzić.

Zanim się obejrzel, już byli na Place de la Concorde. Anna widziała go wczoraj, ale tylko z okien samochodu. Dzisiaj mogła stanąć na jego środku, pod obeliskiem przywiezionym przez Napoleona ze świątyni w Tebach, i obejrzeć plac w całej okazałości. Potem obeszli go dookoła, zatrzymując się przy każdym z ośmiu posągów, odpowiadających ośmiu francuskim miastom.

- To tu ścięto Ludwika Szesnastego - przypomniała sobie Anna.

- Dokładnie w tym miejscu - powiedział Julien, wskazując na posąg symbolizujący Brest.

- To straszne.

Anna zamyśliła się. Kilka dni przed przylotem do Paryża była w kinie na filmie o Marii Antoninie. Diane, która jej towarzyszyła, była zdziwiona, że reżyserka nie pokazała do końca tragicznej historii bohaterki. Anna uważała, że Sophie Coppolla dokonała właściwego wyboru, decydując się nie pokazywać widzom sceny egzekucji.

Teraz podzieliła się swoimi refleksjami z Julienem. Nie widział filmu *Marie Antoinette*, ale się z nią zgodził.

Z Place de la Concorde poszli do pięknie utrzymanych Ogrodów Tuilleries.

- Jak to się stało, że zapisałaś się na kurs *monsieur* Maxime'a Lavoisiera? - spytał chłopak, kiedy szli wysadzaną kasztanowcami aleją, biegnącą przez środek ogrodów.

Anna uśmiechnęła się i opowiedziała mu historię o ich rodzinnych tradycjach - tej związanej z zawodem prawnika i tej, zgodnie z którą każdy członek rodziny ostatnie wakacje przed maturą spędzał w Paryżu - a także o tym, jak pragnęła wziąć udział w kursie Ricka Evigana, i o tym, jak rodzicom w ramach urodzinowego prezentu dla niej udało się połączyć wyjazd do Paryża z jej marzeniem o kursie prowadzonym przez mistrza *haute cuisine*.

- Co za ironia losu! - powiedział Julien. - U mnie jest dokładnie odwrotnie. Ja pochodzę z rodziny restauratorów. Moi rodzice mają restaurację w Nowym Jorku, a dziadkowie ze strony ojca mieli restaurację w Paryżu, odziedziczoną po pradziadkach. Podobno założył ją jakiś nasz przodek w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Anna wpatrywała się w niego z podziwem.

- To wspaniałe! - zawołała.

- Być może - przyznał. - Tyle tylko, że ja nie chcę zostać restauratorem.

- W takim razie co robisz na kursie?

- Zawarłem z rodzicami pewien układ. Obiecali mi, że jeśli wezmę udział w kursie *monsieur* Maxime'a i po jego zakończeniu nie zmienię swoich planów, pozwolą mi zostać, kim zechcę, nawet gitarzystą rockowym.

- Chciałbyś być gitarzystą? - zaciekała się Anna.

- Nie, skąd! Lubię pograć na gitarze, ale mam zupełnie inne plany.

- Jakie? - dopytywała się Anna.

- Zgadnij - powiedział, patrząc na nią tajemniczo. - Nie domyślasz się? Powiedziałem ci, że u mnie jest dokładnie odwrotnie niż u ciebie.

- Chcesz zostać prawnikiem! - Anna roześmiała się.

- Przyznaj sama, czy nie uważasz, że to jest ironia losu?

- Jest.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Już wiem! - zawołała Anna. - Możemy się zamienić rodzicami.

- Jest to jakiś pomysł. Chociaż... moi w sumie nie są tacy źli.

- Moi też.

- Więc jeśli moi dotrzymają obietnicy i kiedy wrócę do Nowego Jorku, nie będą już więcej naciskać, to pewnie nie będę miał powodu, żeby ich wymieniać.

- Ja raczej też nie. Mama i tata chyba zaczynają się powoli godzić z tym, że chcę zostać szefem kuchni. W przeciwnym wypadku nie zafundowałyby mi kursu u *monsieur* Maxime'a.

Kasztanowa aleja doprowadziła ich do stawów, wokół których były rozstawione ławki. Julien zaproponował, żeby na chwilę usiąść, i Anna chętnie się zgodziła.

Kiedy odpoczęli, opuścili Ogrody Tuilleries i poszli rue de Rivoli, obok Luwru.

- Mnie też to czeka - powiedziała Anna, widząc tłum ludzi przed jednym z wejść.

- Nie przerażaj się - uspokoił ją Julien. - To tylko tak strasznie wygląda, a na wejście wcale nie trzeba czekać aż tak długo.

Anna zauważyła, że kolejka rzeczywiście posuwa się nadspodziewanie szybko.

Ucieszyła się, że w końcu Luwr pozostał za ich plecami. Budynek jest wprawdzie okazały, ale jego sąsiedztwo, pełne sklepów z kiczowatymi pamiątkami, rażąco kontrastuje z dostojnością zabytkowej budowli.

Kilka minut po tym, jak minęli Luwr, skręcili w prawo, w ulicę, która doprowadziła ich do jednego z najładniejszych mostów na Sekwanie, Point Neuf, i przeszli na drugi brzeg.

Idąc wzdłuż rzeki, dotarli do Place St. Michel.

Julien zatrzymał się na chwilę.

- Zastanawiam się, od czego zacząć pokazywanie ci Dzielnicy Łacińskiej - oznajmił.

- Pozostawiam to tobie - odparła Anna. W czasie dwóch spędzonych z nim godzin zdążyła, przynajmniej jeśli chodzi o znajomość Paryża, nabrać do niego na tyle zaufania, że wierzyła, że wybór, jakiego dokona, będzie najtrafniejszy.

- Chyba zrobimy to, co większość turystów, zaczniemy od rue de la Huchette - rzeki Julien.

- Zgadzam się - powiedziała i wkrótce znaleźli się w wąskiej, zatłoczonej uliczce.

Słychać było wszystkie języki świata i francuski wcale nie był dominujący. Anna zrozumiała, dlaczego jej towarzysz wahał się, czy właśnie tu rozpocząć zwiedzanie Dzielnicy Łacińskiej.

Po obu stronach rue de la Huchette, niemal jedna przy drugiej, mieściły się niewielkie restauracje o greckich nazwach. W ich oknach kusząco eksponowano śródziemnomorskie przysmaki.

Wzrok Anny przyciągnęły długie na pół metra szaszłyki z owocami morza. Wyglądały tak apetycznie, że ślinka napłynęła jej do ust.

- To lepiej wygląda, niż smakuje - ostrzegł Julien, widząc, że dziewczyna zatrzymuje się przy jednym z okien.

Anna pomyślała, że nawet jeśli sam nie pasjonuje się sztuką kulinarną, to pochodzi z rodziny restauratorów, więc musi się znać na dobrej kuchni, i mu uwierzyła.

- Na świeże *fruits de mer* zabiorę cię kiedyś na rue Lévis - obiecał chłopak.

- Rue Lévis? - zdziwiła się; nie słyszała o niej, więc raczej nie była to wielka atrakcja turystyczna. - A co tam jest takiego szczególnego?

Julien uśmiechnął się.

- To taka mała, wąska uliczka, na której o świcie kupcy rozstawiają swoje stragany. Ale cóż to za *larg!* Owoce morza i zwyczajne, choćby najbardziej egzotyczne, ostrygi wszelkich rozmiarów, ryby morskie, jakie tylko można sobie wyobrazić... A wszystko świeżutkie, prosto z wody i z drzewa. No i wszystkiego można skosztować na miejscu. Zaopatrują się tam i restauratorzy, i zwykli mieszkańcy. Skoro tak interesujesz się kuchnią, musisz to zobaczyć, koniecznie.

- Chętnie - ucieszyła się Anna.

Tyle tylko, że opowieść Julienu o rue Lévis tylko zaostrzyła jej apetyt. A tymczasem było już po czwartej, pora lanczu dawno minęła i Anna, która od śniadania nie miała nic w ustach, najzwyczajniej w świecie była głodna.

Nie wiadomo, czy chłopak odgadł jej myśli, czy sam też poczuł głód, w każdym razie zapytał:

- Nie sądzisz, że powinniśmy coś zjeść?

- Świetny pomysł - zgodziła się ochoczo.

- Jeśli masz ochotę, możemy wejść do jednej z tych greckich restauracji - wskazał tę, obok której akurat przechodzili - ale muszę cię o czymś uprzedzić.

Anna zamieniła się w słuch.

- Szaszłyk, który dostaniesz, będzie o połowę mniejszy od tego na wystawie, a owoce morza nie będą, tak jak tu, świeże, tylko z zamrażarki i niczym nie będą się różnić od tych z supermarketu.

Przekonał ją całkowicie.

- Lubisz naleśniki? - zapytał.

- Uwielbiam! Właśnie o tym marzyłam, kiedy leciałam do Paryża, o tym, że będę jeść prawdziwe francuskie naleśniki.

- No to masz szczęście, że na mnie trafiłaś. Znam takie miejsce, że lepszego nie znajdziesz.

Kiedy weszli w uliczkę odchodzącą od rue de la Huchette, tłum się przerzedził i nie trzeba się już było przeciskać między ludźmi, a gdy skręcili w następną, jeszcze węższą, zrobiło się już całkiem luźno.

- Jak tu ładnie! - zachwyciła się Anna, rozglądając się.

- A mówiłaś, że to nudne, pokazywać komuś znajome miejsca - przypomniał jej Julien. - Wiesz, jakie to miłe, kiedy widzisz, że komuś podoba się coś, co lubisz?

- Tu jest naprawdę pięknie - powiedziała, gdy weszli w kolejny zaułek.

- To tu. - Julien zatrzymał się przed starymi drewnianymi drzwiami z żelaznymi, trochę zardzewiałymi okuciami.

Anna spojrzała na wiszący nad nimi staroświecki szyld.

- „Crêperie Cardamone au Canelle” - przeczytała. - Kardamon i cynamon - przetłumaczyła na angielski. - Ładna nazwa.

Julien otworzył ciężkie drzwi i Anna weszła pierwsza do mrocznego korytarza. Potem chłopak poprowadził ją krętymi kamiennymi schodami w dół i znaleźli się w niewielkiej sali pełnej młodych ludzi. Tutaj słyszało się tylko francuski.

Stoliki stały jeden przy drugim i na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystkie są zajęte, ale Julien wypatrył jeden wolny.

- Tu jest... - zaczęła Anna, kiedy usiedli, ale przerwała, szukając właściwych słów, żeby wyrazić to, co czuje. - Tu jest... - Wciąż nie mogła ich znaleźć.

- No jak? - ponaglił ją Julien.

- Tu jest jak w Paryżu - powiedziała i oboje się roześmiali. - A poza tym jestem głodna jak wilk - dodała.

- Masz ochotę na naleśniki na słodko czy może pikantne?

- Jasne, że na słodko.

- Ja mam tu swoje ulubione - oznajmił Julien.

- Biorę je - postanowiła bez chwili wahania. Chłopak roześmiał się.

- Nie chcesz nawet wiedzieć, z czym one są?

- Jasne, że chcę. Ale i tak je biorę.

- Jesteś pewna?

Kiwnęła głową. Po chwili jednak trochę się wystraszyła.

- No więc co w nich jest takiego strasznego? - spytała, zdecydowana, że cokolwiek to będzie, i tak je zamówi.

- Miód lawendowy, kardamon i cynamon - wyjaśnił.

Słyszała, że jest coś takiego jak miód lawendowy; nigdy go jeszcze nie jadła, ale nie przypuszczała, żeby jego smak różnił się w jakiś znaczący sposób od akacjowego, sosnowego czy pomarańczowego, a połączenie miodu - jakiegokolwiek - z jej ulubionymi przyprawami, wydawało się fantastyczne.

Naleśnik był przepyszny. Anna nigdy w życiu nie jadła lepszych. Żałowała, że z naleśnikami nie jest tak jak z pizzą - że bierze się dużą, średnią albo małą. Z pewnością wzięłaby dużą, a naleśnik najwyżej mogła zamówić drugi.

Julien nawet jej to zaproponował, ale zrobiło się już dość późno, a ona obiecała Duvernetom, że będzie w domu, zanim wrócą z pracy. Nie chciała sprawiać im zawodu, zwłaszcza że Barbara zapowiedziała, że przygotowuje na cześć Anny wyjątkową kolację. Powiedziała więc o tym Julienowi, a on zrozumiał i po wyjściu z *crêperie* poszli najkrótszą drogą do najbliższej stacji metra. Razem dojechali do Châtelet, skąd Anna miała przesiadkę na Montparnass, a on na stację Georges V.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała Anna, kiedy się rozstawali.

- To ja ci dziękuję.

- Ty mnie!? - zdziwiła się. - Za co?

- Jesteś pierwszą osobą, której pokazuję Paryż. Zawsze to mnie go pokazywano. Kiedy przyjeżdżałem na wakacje, dziadek albo ktoś inny z rodziny oprowadzał mnie po mieście, a dzisiaj ja mogłem to zrobić. I wiesz co? Dzięki tobie odkrywam to miasto na nowo.

- Jeśli naprawdę jest tak, jak mówisz, to bardzo się cieszę - powiedziała Anna.

Nie mogła dodać nic więcej, bo metro, do którego miała wsiąść, właśnie nadjechało.

Zanim zamknęły się drzwi, zdążyła pomachać Julienowi i zawołać:

- Do jutra.

Przez sześć dni w tygodniu - również w soboty - odbywały się zajęcia z *monsieur* Maximem. Plan kursu przewidywał pięć godzin dziennie, ale kilka razy się zdarzyło, że przeciągnęły się do sześciu, a raz nawet do siedmiu.

Mistrz był wymagającym nauczycielem i nie można sobie było pozwolić nawet na chwilę nieuwagi. Mimo podeszłego wieku śledził swymi bystrzymi oczami poczynania podopiecznych i nawet najmniejsze uchybienia nie uchodziły jego uwagi.

- Jak on to robi? - zastanawiała się głośno Anna w upalny sierpniowy dzień. - Czasami mi się wydaje, że ma dodatkowo dwie albo trzy pary oczu wokół głowy.

- Nie mam pojęcia - odparł Julien. - Ale też często mam wrażenie, że widzi to, co dzieje się za jego plecami.

Tego dnia uczyli się przygotowywać różne rodzaje sufletów, i to właśnie wtedy zajęcia przedłużyły się o dwie godziny. Anna i Julien, którzy codziennie po kursie wybierali się na wędrowki po mieście, rym razem byli tak zmęczeni, że postanowili zrobić przerwę w zwiedzaniu Paryża i wyskoczyć do kina na film o Edith Piaf. Mieli już kupione bilety, ale do rozpoczęcia seansu zostało jeszcze ponad pół godziny.

Sierpniowy dzień był wyjątkowo upalny, więc po drodze kupili w sklepiku dwie butelki wody, doszli do najbliższego skweru, znaleźli wolną ławkę i usiedli.

- Na przykład dzisiaj - wróciła do tematu Anna, obsuwając się nieco na ławce i wyciągając przed siebie nogi.

Julien zerknął na nią i zrobił to samo.

- Też cię bolą nogi?

- Bolą? W ogóle ich nie czuję - odparła.

- Mówisz o suflecie Giovanniego? - spytał Julien, nawiązując do tego, co powiedziała na początku.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się i pokręciła głową. - „*Monsieur* Giovanni, pański suflet serowy opadł”. - Nauczyła się parodiować mistrza i całkiem dobrze jej to wychodziło.

Julien roześmiał się i łamanym francuskim, z mocnym włoskim akcentem, przedrzeźniając jednego z Włochów uczestniczących w kursie, odpowiedział:

- Spadł, prawda... Ale, maestro, jak pan to dowiedział? Pan do mnie stać plecami! - zawołał z przerażeniem.

Tym razem to Anna wybuchnęła śmiechem; kiedy już się uspokoiła, powtórzyła słowa

monsieur Maxime'a:

- Słyszałem, jak opadał. I zrujnował pan jeszcze suflet *mademoiselle* Astrid.

To był ciężki, pracowity dzień, ale również zabawny.

Astrid, sympatyczna dwudziestoletnia Szwedka, słysząc słowa mistrza, pokręciła głową. Przed chwilą z dumą wyjęła z pieca swój pięknie wyrośnięty suflet i ostrożnie, stosując się do zaleceń *monsieur* Maxime'a, postawiła go przed sobą na blacie. Nagle rozległ się jej krzyk.

- Naprawdę opadł! Jak to się stało?

- No cóż, *mademoiselle* Astrid - odparł mistrz. - *Monsieur* Giovanni zniszczył pani suflet w ten sam sposób, w jaki pani właśnie zniszczyła suflet *madame* Natashy.

Natasha spojrzała na swoje jeszcze przed chwilą okazałe, a teraz płaskie niczym placek dzieło. Oczy miała okrągłe jak spodki.

- I mój też! - zawołał jej mąż, Siergiej.

- Proszę się nie przejmować, *monsieur* Siergiej - rzekł Maxime Lavoisier. - Odplacił się pan tym samym, tylko nie *mademoiselle* Astrid, a *monsieur* Kamashi i jego przyjacielowi.

Japończycy, najgorliwsi i najbardziej uważni wśród dwunastu kursantów, jako jedyni zapamiętali i zastosowali się do ostrzeżeń mistrza, że przy pieczeniu sufletów, a zwłaszcza w trakcie i zaraz po wyjęciu ich z piekarnika, nawet podniesiony głos może doprowadzić do katastrofy.

Hayami i Kamashi nie mogli już wprawdzie zapobiec katastrofie, ale zachowując absolutny spokój, nie dopuścili do tego, żeby katastrofa przerodziła się w jeszcze większy karambol.

Anna i Julien zaśmiewali się do łez, wspominając najzabawniejsze momenty dzisiejszych i wcześniejszych zajęć.

Potem na jakiś czas oboje zamilkli.

Anna pomyślała o tym, że za tydzień kurs się kończy i wróci do Nowego Jorku. Julien miał lecieć cztery dni przed nią. Żeby zdążyć na ślub brata, musiał zrezygnować z trzech ostatnich dni kursu.

Uświadomiła sobie, że bardzo polubiła tego sympatycznego, drobnego chłopca. Pomijając niedziele, kiedy Duvernetowie zabierali ją zwykle za miasto, żeby zwiedziła okolice Paryża, spędzali ze sobą mnóstwo czasu. Czuła, że będzie go jej brakowało.

Nie wiadomo dlaczego, nagle przyszedł jej do głowy David. Ostatnio myślała o nim coraz rzadziej. Kiedy w wieczór przed odlotem z Nowego Jorku zadzwonił, żeby odwołać spotkanie, zanim się pożegnali, obiecała mu przesłać mejlem numer telefonu Duvernetów.

Znała ten numer już wcześniej, ale uznała, że to nieładnie przekazywać go komuś bez poproszenia ich o zgodę.

Nazajutrz po przylocie do Paryża wysiała mu dość chłodnego mejla, ale tak, jak z nim ustaliła, numer podała.

Odpowiedział jej nadspodziewanie ciepło. Przepraszał za ostatni wieczór, pisał, że już za nią tęskni i nie może się doczekać spotkania w Paryżu. Przed wyjazdem do Europy wysłał jej drugiego mejla, jeszcze cieplejszego, w którym zapewnił, że kiedy tylko będzie znał datę swojego pobytu w Paryżu, natychmiast da jej znać.

I to była ostatnia wiadomość od Davida.

Szczerze mówiąc, nie bardzo liczyła, że się tu spotkają. Może nie chciała się narażać na kolejne rozczarowanie? A może przestało jej na nim zależeć?

Usiadła prosto na ławce, wypła resztkę wody i kątem oka zerknęła na Julię. Był zamyślony, na jego twarzy malował się cień smutku.

Czy też myślał o tym, że pobyt w Paryżu pomału dobiega końca?

Zajęcia na kursie rozpoczynały się punktualnie o dziewiątej. *Monsieur* Maxime oczekiwał od podopiecznych, że będą przychodzić na tyle wcześnie, by czekać *na* niego w pełnym kucharskim rynsztunku. Anna starała się więc być na miejscu o wpół do dziewiątej. Żeby dojechać do Place de la Madeleine, musiała przesiadać się dwa razy, a do najbliższej stacji metra miała jakieś dziesięć minut drogi pieszo. Wstawała o siódmej, pilnowała więc, żeby nie kłaść się spać za późno.

Tego wieczoru wciąż jeszcze była pod wrażeniem filmu o Edith Piaf. Pożyczyła od Barbary płytę z jej piosenkami i słuchała jej, leżąc już w łóżku. *Milord, Padam, padam, Sur le ciel de Paris...* Nagle dzwonek stojącego na szafce nocnej telefonu wyrwał ją z przyjemnego stanu rozrzwinięcia.

Główny telefon był w salonie i jeśli do Anny dzwonili rodzice, Barbara albo Claude przełączali na aparat w jej pokoju.

- Cześć, mamó - powiedziała Anna, podnosząc słuchawkę, bo to matka zawsze najpierw z nią rozmawiała, a dopiero potem ojciec.

- Cześć, Anno.

Dziewczyna podskoczyła na łóżku.

- David...? - spytała z niedowierzaniem.

- Dlaczego jesteś taka zaskoczona?

- Nie spodziewałam się ciebie usłyszeć.

- Jak to?! Przecież obiecałem ci, że się odezwę, jak tylko będę wiedział, kiedy będę w Paryżu.

Przed kilkoma dniami, siedząc na ławce z Julienem, myślała o tym, że chyba przestało jej zależeć na Davidzie.

Ale czy wtedy jej serce biłoby w tak szaleńczym rytmie, jak teraz?

- Mówiłeś mi, że dwudziestego szóstego wylatujesz z Berlina do Nowego Jorku, więc przypuszczałam, że albo już byłeś w Paryżu, albo w ogóle zrezygnowaliście z przyjazdu tutaj.

- Naprawdę pomyślałaś, że mógłbym być w Paryżu i się do ciebie nie odezwać?

Szczera odpowiedź brzmiałaby: „Owszem. Zawiodłeś mnie tyle razy, że mogłam się spodziewać, że i tym razem będzie podobnie”. Anna była jednak zbита z tropu. Nie wiedziała, ani co myśleć, ani co powiedzieć.

Na szczęście David na to nie czekał.

- Dobrze pamiętasz. Wylatujemy z Berlina dwudziestego szóstego, ale to jest dopiero za kilka dni.

- Gdzie jesteś teraz? - spytała.

- Jak to gdzie?! W Paryżu. I nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

Jeszcze nie tak dawno, nie patrząc na porę, zerwałaby się z łóżka, ubrała i pobiegła, gdziekolwiek by chciał, byleby się z nim spotkać, choćby na chwilę.

Teraz była rozsądniejsza; mimo to uświadomiła sobie tę niepokojącą słabość, którą zawsze odczuwała w obecności Davida.

- Wiesz, jak się za tobą stęskniłem?

Ten głos. Już prawie zapomniała jego niską barwę.

- Kiedy się zobaczymy? - zapytał David. Czują, jak powracają marzenia o romantycznym spotkaniu w Paryżu, o których ostatnio zapomniała.

- Jutro? - rzuciła.

- Czemu nie dzisiaj?

Anna zaczęła się zastanawiać, co by powiedzieli Barbara i Claude, którzy czuli się za nią odpowiedzialni, gdyby oznajmiła, że musi zobaczyć się z kolegą z Nowego Jorku? Pewnie nie spodobałaby im się pora. Ale może nie mieliby nic przeciwko temu? A nawet, kto wie, czy Claude, zawsze tak skory do pomocy, nie zaproponowałby, że podrzuci ją na tę randkę?

Nie! - powiedziała sobie, kiedy się zorientowała, w jaką stronę biegną jej myśli.

Zawsze pozwalała, żeby to David wybierał czas i miejsce spotkania. Chciała to zmienić. Pokusa, żeby zobaczyć go jeszcze dzisiaj, wciąż istniała, a jednak Anna była zdecydowana jej się oprzeć.

- Dzisiaj nie mogę - odparła z determinacją w głosie. - Jest za późno. Właściwie to leżę już w łóżku. Wstaję o siódmej.

- Wstajesz o siódmej w czasie wakacji? - zdziwił się David. - Ach tak, ten twój kurs...

Udała, że nie słyszy nuty lekceważenia.

- Więc o której będziemy mogli się spotkać? - spytał.

- Kończę o drugiej. Moglibyśmy się zobaczyć koło wpół do trzeciej na Place de la Madeleine.

- Nie słyszałem o takim placu. Może w jakimś bardziej znanym miejscu? - zaproponował David. - Na przykład pod Luwrem, przy piramidzie.

Anna nie miałaby kłopotów z dotarciem pod Luwr, ale dlaczego to ona znowu miała się naginać do jego wymagań?

- Masz mapę Paryża? - spytała.

- Jasne.

- Więc nie będziesz miał kłopotów ze znalezieniem Place de la Madeleine. Możesz tam dojechać metrem.

David, przyzwyczajony do jej uległości, był tak zaskoczony, że się zgodził.

Ustalili - a właściwie ona ustaliła - że spotkają się o wpół do trzeciej w miejscu, gdzie rue Tronchet dochodzi do Place de la Madeleine.

Zasypiając, Anna była dumna ze swojej stanowczości.

Anna denerwowała się, że zajęcia się przeciągają. Odetchnęła z ulgą, kiedy kwadrans po drugiej *monsieur* Maxime zakomunikował, że nazajutrz dowiedzą się, co można wyczarować z truflి, i pożegnał kursantów.

Przebrała się szybko w damskiej szatni, ale i tak musiała czekać na Julię. Rano przyszedł w ostatniej chwili, a w czasie zajęć nie miała okazji, żeby z nim porozmawiać.

On nazajutrz odlatywał do Nowego Jorku i planowali, że dzisiejszy dzień spędzą w szczególny sposób. Anna już kilka dni temu uprzedziła Duvernetów, że wróci później, i poprosiła, żeby nie czekali na nią z kolacją.

Czuła się nieswojo, wiedząc, że za chwilę zawiedzie Julię. Znała go już jednak na tyle, że spodziewała się, że ją zrozumie i się nie obrazi.

- No proszę! - zawołał, kiedy zobaczył ją przed męską szatnią. - Zawsze ja czekałem na ciebie, a dzisiaj ty na mnie. To miło.

- Już myślałam, że nigdy stamtąd nie wyjdiesz.

- Giovanni znowu próbował udowodnić *monsieur* Maxime'owi wyższość kuchni włoskiej nad francuską i byłem ciekawy, co z tego wyniknie.

- Oczywiście, jak zawsze, został pokonany - domyśliła się Anna.

- Oczywiście.

- Julien, muszę ci coś powiedzieć - zaczęła niepewnym głosem, kiedy wyszli z budynku. - Nie możemy spędzić razem dzisiejszego popołudnia i wieczoru.

- Coś się stało? - Na twarzy chłopca odmalował się raczej niepokój niż rozczarowanie.

- Nie, nic takiego - uspokoiła go. - Tylko przyjechał mój chłopak i chcę się z nim spotkać. - Spojrzała na zegarek. - Jestem z nim umówiona za osiem minut.

Wcześniej myślała o tym, żeby nie mówić o Davidzie jako o swoim chłopaku, tylko jak o znajomym, uznała jednak, że spotkanie z jakimś tam kolegą to za mało, żeby usprawiedliwić tak nagłą zmianę planów.

- Nic mi o tym nie mówiłaś - powiedział cicho.

- Bo nie było pewne, czy przyjedzie do Paryża.

- Nawet nie wspomniałaś, że w ogóle masz chłopaka.

Bo sądziłam, że go nie mam, a teraz... teraz już sama nie wiem, pomyślała.

- Jakoś nie trafiła się okazja. - Widziała, że jest zawiedziony, i poczuła się strasznie głupio. - Julien... ja... bardzo cię przepraszam.

- Nie ma sprawy. Rozumiem.

- Naprawdę rozumiesz?

- Jasne! - rzucił z bez troską, ale Anna zdawała sobie sprawę, że ta bez troska jest tylko pozorna.

Nie było sensu pytać go, czy jest mu przykro, bo przecież wiedziała, że tak jest.

- Zobaczymy się w Nowym Jorku? - spytała.

- Pewnie tak - odparł, ale zbyt długo się wahał. Zerknął na zegarek.

- Spóźnisz się - powiedział.

Objęła go i pocałowała w oba policzki.

- Tak się cieszę, że cię poznałam. I dziękuję ci za wszystko. Bez ciebie Paryż nie byłby ani w połowie tak piękny.

Uśmiechnął się, ale jego oczy były smutne.

- Julien, ja naprawdę tak myślę. Doleć jutro szczęśliwie do Nowego Jorku i baw się dobrze na weselu brata.

- Dzięki. A ty baw się dzisiaj dobrze ze swoim chłopakiem.

W jego ustach zabrzmiało to co najmniej dziwnie.

- Zadzwoń do ciebie z Nowego Jorku - obiecała. - Zaraz po przylocie.

- Będzie mi miło - powiedział, ale chyba nie wierzył w jej obietnicę. - No, biegnij już, bo się spóźnisz.

Anna jeszcze raz cmoknęła go w policzki i ruszyła w stronę rue Tronchet.

Kiedy pół minuty później się odwróciła, Julienu już nigdzie nie było.

Po godzinie spędzonej z Davidem Anna myślała już tylko o tym, żeby jak najszybciej się z nim rozstać. Po raz pierwszy ta myśl zaświtała jej w głowie w chwili, gdy go zobaczyła.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział, obejmując ją. To był ten sam, lekko ochrypły głos, którym zawsze prawił jej komplementy, tylko że już tak na nią nie działał. Przeciwnie, irytował ją, podobnie jak jego zbyt natrętne spojrzenie.

Kiedy chciał ją pocałować, uchyliła się. A gdy po chwili ponowił próbę, cofnęła się o krok. Na szczęście, po raz trzeci nie próbował.

- Wciąż masz do mnie żal o ten ostatni wieczór w Nowym Jorku, prawda?

Anna zastanowiła się. Prawda była taka, że nie miała do Davida żalu, ani o ten wieczór, ani o nic innego. Żal można mieć do osoby, która coś dla nas znaczy, a właśnie uświadomiła sobie, że wcale jej na nim nie zależy.

- Nie stójmy tak. Może pójdziemy gdzieś się czegoś napić - zasugerowała. Jakoś głupio było, stojąc na rogu, tłumaczyć mu, że umawiając się z nim dzisiaj, popełniła pomyłkę i że nie chce się już z nim spotykać... ani w Paryżu, ani w Nowym Jorku, ani nigdzie indziej.

- Chętnie.

Kawałek dalej była mała kawiarnia. Annie przemknęło przez myśl, żeby zabrać tam Davida, ale zanim zdążyła to zaproponować, pomyślała, że spędziła w niej z Julienem wiele miłych chwil i nie chciała w tym samym miejscu przeprowadzać rozmowy, która nie zapowiadała się przyjemnie.

Niedaleko od Place de la Madeleine, przy rue Tronchet, była inna kawiarnia. Wydawała się na tyle nieprzyjazna, że Annie i Julienowi nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby do niej wejść. Zatem do celu, który teraz jej przyświecał, wydawała się idealna.

Kiedy usiedli przy stoliku z widokiem na ulicę, David zaczął mówić o swojej podróży przez Europę. Przerwał tylko na chwilę, kiedy Anna zamawiała dla siebie *café au lait*, a dla niego colę.

Zniecierpliwiona, co jakiś czas spoglądała na zegarek, nie mogąc się doczekać, kiedy chłopak skończy opowieść o przygodach, które spotykały jego i jego przyjaciół. Nie potrafiła zrozumieć, jak w Nowym Jorku mogła znosić jego egocentryzm.

Po godzinie wstała z krzesła.

- Idziesz do toalety? - spytał.

- O! Zauważyłeś, że wstałam - rzuciła z sarkazmem. - Nie, nie wybieram się do

toalety. Idę do kelnerki, żeby zapłacić za kawę.

- Już wychodzimy? - Dopiero teraz dotarło do niego, że coś jest nie w porządku.

- Nie wiem, jak ty, ale ja płacę i wychodzę - oznajmiła. - Tę colę ja stawiam - dodała wspaniałomyślnie.

- Co się dzieje? Właściwie o co ci chodzi? Już kiedy się spotkaliśmy, czułem, że coś jest nie tak.

Anna uśmiechnęła się złośliwie.

- Ach, czuleś, że coś jest nie tak, i przez godzinę - postukała palcem w zegarek - przez równą godzinę opowiadałeś mi o wspaniałych wyczynach twoich przyjaciół, zamiast zapytać, co mi jest.

- Ktoś naopowiadał ci o mnie jakichś bzdur. Roześmiała się.

- Posłuchaj, nawet jeśli są takie rzeczy, o których ktoś mógłby mi naopowiadać, a myślę, że są, to uwierz mi, nic mnie nie obchodzi.

Wciąż stała. Gdyby usiadła, ta rozmowa mogłaby się przeciągnąć zbyt długo, a wiedziała, że nie powinno jej tu być.

Powinna teraz być w zupełnie innym miejscu, z innym chłopakiem.

- Bo ty mnie nie obchodzisz. Jeszcze wczoraj, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, nie zdawałam sobie z tego sprawy z taką jasnością. Ale dzisiaj już wiem. - Zrobiła pauzę i powtórzyła: - Nie obchodzisz mnie. Nic a nic. Przyprowadziłam cię tutaj, żeby cię o tym poinformować i wyjaśnić, dlaczego tak się stało, ale... - znów postukała palcem w zegarek - czas minął.

Miała odliczone pieniądze, więc podała je przechodzącej obok kelnerce.

- Cześć. Miłego pobytu w Paryżu! - rzuciła i wyszła, zostawiając chłopaka w stanie kompletnego osłupienia.

Czy kiedy w Nowym Jorku marzyła o spotkaniu z Davidem w Paryżu, mogła się spodziewać, że sprawy przybiorą taki przebieg?

Zmierzając w stronę stacji metra przy Place de la Madeleine, Anna wyrzucała sobie dotychczasową uległość, ślepotę, głuchotę i naiwność. Najbardziej jednak nie mogła sobie wybaczyć, że zawiodła dziś chłopca, którego tak lubiła, z którym spędziła tyle wspaniałych chwil.

Pocieszała ją tylko jedna myśl - że może uda jej się to naprawić.

Idąc coraz szybszym krokiem, rozglądała się za automatem telefonicznym. Jeden już minęła, ale stało przed nim kilka osób, uznała więc, że nie warto czekać, lepiej poszukać innego. Wiedziała, że najbliższy znajdzie na stacji metra, więc zbiegła schodami w dół.

Automatów telefonicznych było kilka, jeden obok drugiego, i wszystkie wolne.

Nerwowo rozpięła torebkę i wygrzebała z niej notes. Pod „J” miała zapisany numer Juliana, a ściślej mówiąc, wujka, u którego mieszkał. Wciskając guziki z cyframi, modliła się w duchu, żeby chłopak był w domu.

Nie było jednak ani jego, ani nikogo innego, w każdym razie nikt nie odbierał telefonu; włączyła się automatyczna sekretarka.

Anna wyszła ze stacji metra i przez chwilę zastanawiała się, co robić. W końcu skręciła w rue Royale. Zanim doszła do Place de la Concorde, dwa razy zatrzymywała się, żeby zadzwonić. Wciąż nikt nie podnosił słuchawki.

Okrzyżowała plac, obejrzała z bliska wszystkie osiem posągów, po czym wolnym krokiem ruszyła w stronę Ogrodów Tuilleries. Idąc kasztanową aleją, pomyślała, że kilka tygodni temu, po pierwszym spotkaniu z *monsieur* Maximem, spacerowała tą samą drogą z Julienem. Kiedy doszła do stawów, przypomniała sobie nawet, na której ławce wtedy siedzieli. Była akurat wolna, więc przysiadła na niej na chwilę.

Wyszędłszy z Ogrodów Tuilleries, teraz już z pełną świadomością, że przemierza tą samą trasę co wtedy, ruszyła rue de Rivoli. Wypatrzyła automat i zadzwoniła. Wciąż to samo - po piątym dzwonku włączyła się sekretarka. Zanim przez Point Neuf dotarła na drugi brzeg Sekwany, próbowała jeszcze trzy razy - z tym samym skutkiem.

Kiedy znalazła się w Dzielnicy Łacińskiej, nie była pewna, czy znajdzie drogę do miejsca, w którym chciała się znaleźć. Ale nogi prowadziły ją same. Szybko, nie patrząc w okna greckich restauracji, które tak jej się podobały pierwszego dnia, przecisnęła się przez tłum turystów na rue de la Huchette, skręciła w boczną uliczkę, potem w inną, węższą, w kolejny zaułek i stanęła przed znajomymi drzwiami - z żelaznymi, zardzewiałymi okuciami.

Nad nimi wisiał szyld „Crêperie Cardamone au Canelle”.

Pchnęła je i znalazła się w mrocznym korytarzu. Ruszyła w dół. Kręte kamienne schodki były tak wąskie, że żeby się minąć z wchodzącymi na górę dwiema dziewczynami, musiała przywrzeć plecami do ściany.

W sali na dole, podobnie jak za pierwszym razem, kiedy tu była, panował tłok. Od razu jednak dostrzegła siedzącego do niej plecami chłopca. Idąc do niego między stolikami, miała nadzieję, że to nie pomyłka, że to nie inny chłopak z lekko kręconymi, ciemnymi włosami o identycznym kasztanowym odcieniu.

Kiedy stanęła za nim, odwrócił się.

- Anna...? - szepnął, wstając.

- Julien, skąd się tu wzięłeś?

- Ja? Mieliliśmy tu wpaść dzisiaj razem. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, więc przyszedłem sam. Ale co ty tu robisz?

- Szukałam ciebie - odparła Anna, siadając na krześle, które dla niej odsunął. - Dzwoniłam do ciebie z dziesięć razy, ale nikt nie odbierał. Przyszłam tu tą samą drogą, którą prowadziłeś mnie wtedy. Kiedy dotarłam do St. Michel, coś mi powiedziało, że może cię tu spotkam.

Julien sprawiał wrażenie, jakby nie mógł pozbierać myśli.

- Ale... ale przecież byłaś umówiona ze swoim chłopakiem.

Anna pokręciła głową.

- Nie byłaś umówiona? Więc...

- Byłam, ale to nie jest mój chłopak. Już nie. - Zastanowiła się i dodała: - Właściwie to nigdy nie był. Ale jestem skończoną idiotką i mi się wydawało, że jest moim chłopakiem.

Poczuła, jak Julien delikatnie ściska jej dłoń.

- A największą idiotką byłam dzisiaj, kiedy cię zawiodłam.

Chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu.

- Nie zaprzeczaj, wiem, że cię zawiodłam. I nawet nie wiesz, jak przykro mi z tego powodu.

- A ty nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że jesteś tu teraz ze mną.

- Tak jak ja? - spytała.

- Bardziej.

- Niemożliwe. Bardziej nie można.

Pochyliła głowę nad stołem; Julien zrobił ten sam ruch i dotknęli się czołami. Trwali tak długą chwilę. Trzymali się za ręce, dotykali czołami i było im tak dobrze, że żadne nie

chciało się poruszyć.

Odsunęli się od siebie, dopiero kiedy usłyszeli znaczące chrząknięcie.

- Nie chciałem przeszkadzać - powiedział młody kelner, który nie wiadomo jak długo stał przy nich, trzymając talerz z naleśnikiem.

Postawił go przed Julienem, ale chłopak podsunął go Annie.

Pokręciła głową.

- Zjemy go razem, ale od razu poprosimy o następny, też z lawendowym miodem, kardamonem i cynamonem.